Nr. 23. Warszawa, dnia 23 Maja (4 Czerwca) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach	„ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi az na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

SZKOŁY ROLNICZE.

Obecny stan naszych gospodarstw wiejskich budzi niepłonną obawę. Hipoteki ziemskie przeciążone długami, — zajęcia sądowe i przymusowe sprzedaże są na porządku dziennym, złe się mnoży z każdym dniem, a ratunku znikąd nie widać.

Dwie klasy ludzi zajmują się rolnictwem, tak zwana szlachta i włościanie. Pierwsi pracują tylko głową,—drudzy w obecnym stanie nadanej im swobody, powinniby pracować i głową i ręką. Gdyby każdy z tych dwu stanów, dobrze pojął swoje zadanie, to jest gdyby szlachta była inteligencyją rolniczą, zaś włościanie więcej oświeconemi i wytrwałemi pracownikami, wówczas postęp biorący początek od pierwszych, miałby w drugich ostatecznych swoich wykonawców jeżeli niedalej, to przynajmniej w dziedzinie rolniczej kwestyi.

W ten sposób wytworzony stosunek wzajemnej pomocy musiałby spowodować staranniejszą uprawę ziemi, — silniejszą pomoc machin, zastępujących powolną pracę ręczną, —i w następstwie tego, wyswobodzenie znacznej części rąk od zajęć rolniczych, a skierowanie ich do innych gałęzi zaniedbanego w ogóle przemysłu.

Ten ostatni punkt w dziedzinie ekonomii krajowej ma bardzo ważne znaczenie. Zauważyć bowiem należy, że przeszło pół czwarta milijona na rok oddaje się wyłącznie pracom rolnym, azatym znacznie więcej niż połowa całej ludności. Te milijony pracowników składają się na mizerną produkcyją, stanowiącą prawie jedyny przedmiot handlu wywozowego. Nie mamy cyfr pod ręką, lecz widząc upadek gospodarstw folwarcznych, —krzyczący niedostatek kapitału nakładowego, łatwo możemy wnioskować, że wywóz zboża na handel zagraniczny może być bardzo mały, i od lat kilku stale się umniejsza.

Widocznie przeto ci liczni, może nawet za zbyt liczni pracownicy, nie chcą lub nie umieją pracować skutecznie.

Co do nas, skłonniejsi jesteśmy widzieć przyczynę złego raczej w nieumiejętności jak w niedostatku dobrej chęci.

W ścisłym znaczeniu biorac, rolnik jest specyjalistą—nauka mu potrzebna, nawet długoletnią praktyką w pełni nabyć się nie daje. Praktyka może doprowadzić do pewnych spostrzeżeń, bardzo przydatnych w rzemiośle rolniczym, lecz te spostrzeżenia jak w pewnej miejscowości zostały zaczerpnięte, tak też tylko w tej samej miejscowości ze skutkiem stosować się dadzą. Nieraz długoletni praktyk który robił majątek w podlaskim traci takowy przeniósłszy się w kaliskie. I bardzo to naturalny skutek ich wyłącznie praktycznego uzdolnienia. Bez teorytycznych wiadomości, bez znajomości nauk pomocniczych, tak zwany rolnik praktyczny błąka się ustawicznie w śród tysiąca zjawisk przyrodzonych, których sobie wytłómaczyć, a tym samym i zapanować nad któremi nie może. Działanie jego zależy od skuteczności dowolnych prób; —prawidła jakie stąd wyprowadza są tylko jednostronnym badaniem przyrody — więc są albo zupełnym fałszem w obliczu nauki, albo tylko małą cząsteczką prawdy, której zastosowanie w innym punkcie i odmiennych warunkach stanie się nie możebnym.

Przedewszystkim więc potrzeba naszym ziemianom kształcenia się w swoim rzemiośle nietylko praktycznie, lecz co główniejsza teorytycznie. Brak bowiem zamiłowania pracy, tyle widoczny u większej części rolników jest jednym więcej dowodem, że nie są fachowo usposobieni do swojego powołania.—Niepowodzenia stąd wynikające tworzą z nich malkontentów, gotowych w każdej chwili odbieżyć od pługa i chwycić się innego zajęcia w nadziei polepszenia swego losu. A przecie, dobry rzemieślnik, uzdolniony specyjalista nie zmienia swojego stanu. Owszem nawyknienie zespala go z obranym zajęciem tak ściśle, że jeśli siła niezależnych wypadków zmusza specyjalistę jąć się obcego fachu,

ŚLADY ŻYCIA.

XXIII.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Pismo poświęcone sprawom wychowania, jakim jest właśnie „Opiekun Domowy", powinno być — rozumiemy to dobrze — *pod szczególną kontrolą* innych organów prasy krajowej i całego ogółu.

Jeżeli bowiem przyszłość społeczeństwa na wychowaniu młodych pokoleń polega, to szerzenie na tej niwie zasad fałszywych na nieobliczone w skutkach musiałoby narażać straty...

Wiemy o tym, więc szanujemy każdą uwagę czy publicznie, czy prywatnie nam udzieloną.—Ale obok tego, wiemy jeszcze i to, że *prawda* zawsze i wszędzie jest prawdą, że zatym, wygłaszać ją jest naszą powinnością, choćby nawet, miała ona w danej chwili ściągać na głowy nasze pioruny tych, co do zrozumienia jej jeszcze nie dorośli—lub tych, co interes ogółu usuwając na plan drugi, przez zawiść, upór lub złą wolę radziby ją spaczyć lub ośmieszyć... Przekonywać pierwszych, nie pozwalać obałamucić się pijanym wrzaskom drugich, — to znaczy służyć krajowi rozumem, sercem i sumieniem. My tak pojmujemy swoje zadanie i spełniamy je jak umiemy i *możemy*, ale z dobrą zawsze wiarą, z najlepszemi chęciami. Temi kilku wstępnemi słowy uznaliśmy za konieczne poprzedzić odparcie złośliwej i niesumiennej na nas napaści p. Ł, recenzenta z Kuryjera Warszawskiego zamieszczonej w N-rze 109 tego pisma. Główny powód do napaści owej podał p. Ł. drukowany w N-rze 22 Opiekuna, artykuł *pedagogiczny* p. t. „Powołanie wieszcze".

To, czego chcemy w tym artykule, wyraziliśmy zupełnie jasno. Społeczeństwu—powiadamy rodzicom — potrzeba przedewszystkim zdrowych i pożytecznych obywateli. Pamiętajcież więc o tym i nie kształćcie dzieci na *marzących rymokletów*. P-u Ł. nie podobało się to wezwanie i krzywiąc zdrową myśl artykułu, zarzuca nam, *że poezyi odmawiamy prawa bytu w ludzkości*. Dziwnie to wykrętny zarzut. W artykule zaczepionym przez p. Ł. nie mówimy wcale o szkodliwości prawdziwej poezyi lecz o złym wpływie na wychowanie chorobliwej wybujałości owych pierwszych, zbyt powszechnych pociągów do wierszowania, z których nic jeszcze wróżyć nie można, a które mógł w sobie kiedyś poczuwać zarówno autor artykułu jak i jego recenzent. Jakim zaś sposobem stali się poetami Szekspir lub Mickiewicz, tego w krótkiej regule zawrzeć niepodobna, to leży w zadaniu sumiennych a światłych bijografów i poza planem artykułu o rymoklectwie. Co zaś do poezyi, we właściwym tego słowa znaczeniu, powiadamy jasno, że *„o ile ją cenimy, o tyle brzydzimy się wszelkim jej podrobieniem" i o tyle nie chcielibyśmy aby kiedykolwiek stała się ona parawanem nierządu,*

często bez względu nawet na powodzenie, przypłaca tę zmianę utratą humoru, zdrowia i szczęścia. Ślusarz nigdy nie pragnie zostać kowalem, zegarmistrzem—złotnikiem;—jeden tylko rolnik prawie zawsze marzy o innym rzemiośle, — *bo praca nieumiejętnego jest niewdzięczna.*

Ta dążność do zmiany powołania, wytworzyła nawet zgubną dla rolnika spekulacyją, to jest handel dobrami, czyli przedmiotem z natury swojej najmniej do operacyi handlowych przydatnym. Handel ten w którym powab do kupna stanowią resztki lasów, jakby przez zapomnienie w niektórych majątkach jeszcze niewyciętych, zubożając produkcyją przez zbyt częstą zmianę gospodarzy-spekulantów, fatalnie wpływa na upadek bogactwa ogólnego, i przeszkadza ustaleniu się inteligentniejszej ludności rolniczej, od której rolnictwo wiele się spodziewać by mogło.

A jednak i ten zgubny handel ziemią i ta częsta zmiana właściciela—jest tylko dowodem nieumiejętnej pracy, jest następstwem braku specyjalnego wykształcenia. Ono to jedynie jest źródłem strat majątkowych, ono wyradza zgubną żądzę zmiany, która rzadko kiedy wychodzi na lepsze.

Dla wykształcenia rolników mamy jedną szkołę rolniczą w Nowo-Aleksandryi (Puławy). — Jedna szkoła na półczwarta milijona rolników — to niby za mało! A jednak jakaż niewielka liczba uczniów do tej szkoły uczęszcza... Obok tego uczniami są tu powiększej części mieszkańcy miast-synowie niezamożnych rodziców.

Dlaczgoż więc synowie rolników — tak jej unikają?

Między przyczynami innemi które pominiemy nateraz—zdaniem naszym wpłynęło na to głównie nie właściwe ocenianie smutnych rezultatów *„mądrego gospodarstwa”* przez rolników kształconych w zakładach zagranicznych lub z zagranicy sprowadzanych rządców. Tymczasem podobne wypadki mają nadzwyczaj racyjonalną przyczynę. Młody rolnik przybywający ze szkoły niemieckiej, francuskiej lub angielskiej, nie potrafi się nieraz zastosować do warunków naszej gospodarki rolnej. Zagranica wyprzedziła nas zbyt daleko — warunki tamtejsze a nasze—to niebo i ziemia—to dwa krańce.

Otóż i sekret smutnych ofiar postępu. Ci ludzie sprowadzają machiny do obchodzenia się z któremi nasz rolnik nie przywykł — chcą oni od jednego razu doprowadzić kulturę do wymaganej postępem doskonałości—a owe radykalne reformy najopłakańsze powodują skutki. To coby należało przeprowadzić zwolna a systematycznie.... idzie doraźnie, ziemia nie wypłaca nakładów — teoryja co krok napotyka trudności w jej zastosowaniu — stąd zawody smutne, stąd zniechęcenie, a często bankructwo. Przykład naturalnie taki nie oddziaływa zbawiennie na konserwatystów, owszem *ośmiesza w ich oczach naukę, zniechęca do niej* —i umacnia w błędach pielęgnowanych skrzętnie. Uprzedzenie to niewłaściwe a co gorsza szkodliwe. Szkoła krajowa rolnicza ma na celu wykształcénie takich gospodarzy, jakich nam potrzeba. Kierownicy jej muszą mieć na uwadze obecny stan naszego rolnictwa uczyć młodzież jak potrzeba postępować—jakiego trzymać się systemu, aby kulturę *naszej* gleby podnieść—aby niewielkim stosunkowo kapitałem umieć obracać pożytecznie, a radzić sobie w trudnych nieraz okolicznościach.

Szkoła taka podając systemat gospodarstw obcych, oceniać je musi krytycznie i zawsze mając na celu kraj własny, dawać wskazówki co można przyswoić—co porzucić i zaniechać. Jednym słowem szkoła taka *bądź co bądź*, przez ziemian naszych lekceważoną być nie powinna.

Bez znajomości gruntownych podstaw chemii, fizyki, botaniki i innych koniecznych nauk w rolnictwie, nie może być mowy o porządnym—o korzystnym gospodarstwie wiejskim. Narzekania na ciężkie czasy nic a nic nie pomogą.

„Trzeba się uczyć bo minął wiek złoty” a na rolników trzeba się kształcić w szkole rolniczej. Kto skończywszy Wydział Prawny i uzyskawszy stopień Magistra Prawa —idzie na gospodarkę (a to dosyć się często trafia) ten bodaj że czas stracił napróżno.

Smutny stan naszego rolnictwa powtarzamy to raz jeszcze, obok innych względów najgłówniej brakowi wykształconych specyjalnie rolników przypisać należy. Niechże nad tym podumają Ci co mając synów do wychowania myślą ich kiedyś na rodzinnym osadzić zagonie.

Obok szkoły rolniczej przystępnej dla zamożniejszej młodzieży należałoby pomyśleć i o szkołach rolniczych włościańskich. O potrzebach ludu powówimy kiedyś obszerniej —tu poprzestaniemy na rzuceniu myśli co do zreformowania zakładanych dziś szkółek elementarnych. Szkółki elementarno-rolnicze niezawodne wydałyby owoce. Prócz nauki czytania i pisania wykształciłyby w przyszłości olbrzymi zastęp rolników — oświeciłyby drobnych producentów, dziś ciemnych, nieumiejętnych, niezaradnych, a w skutku tego narażających ogólną cyfrę produkcyi na bardzo ciężkie straty.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Powróciwszy do małego saloniku, Dyjola otworzyła fortepijan, rozłożyła nuty i prosiła Emanuela aby jej akompanijował. — Zaczęła śpiewać—była to jedna z pieśni Szuberta—marząca, tkliwa, namiętna, pieśń której tony przenikały Emanuela, jak atmosfera świetlna, gorąca, otaczając go, unosząc. Elodyja stała wsparta o jego krzesło—słyszał bicie jej serca—czuł drżenie jej ręki, ściskając poręcz—mimowoli przymknął oczy—odurzony. Nagle coś mignęło się przed jego oczyma, pieśń się urwała—a na ręce poczuł pocałunek i łzę gorącą. —Zerwał się—obejrzał—nikogo już nie było w salonie—lekki szelest za portyjerą i ruch jej oznajmiał ucieczkę.—Emanuel zachwiał się jak nieprzytomny—posunął dłonią po oczach bo mu się zdawało że śni—i poznając nareszcie straszną prawdę—zadrżał—i krokiem automatu wyszedł z saloniku.

Elodyja wbiegła do siebie z rękoma załamanemi cała we łzach—prawie obłąkana.— Szalonym rzutem cisnęła się na kobierzec wyściełający cały pokój i kryła twarz w dłoniach—szepcząc do siebie gwałtownie:

— Ja go kocham!.. kocham!.. kocham!..

I jakby za każdym wymówieniem przybyło jej siły, podniosła się i przyciskając obie ręce do serca, powtórzyła jeszcze:

— Ja go kocham!..

Wyprostowała się—niby urosła—odrzuciła w tył głowę i patrząc przez siebie, z nieopisaną dumą, uczuciem i mocą, mówiła jakby odpierając czyjeś zarzuty:

---

czapką błazeńską lub bańką mydlaną. To zdaje się dosyć zrozumiałe.

Jako środek przeciw *chorobliwemu rymoklectwu* zalecamy: mniej powieści o tajemnicach i duchach, mniej do wyuczania się na pamięć bajek i elegij, a więcej gimnastyki, arytmetyki, nauk przyrodzonych i historyi. Powiadamy zaraz jednak, *że to przeciw-marzycielskie wykształcenie tłumiąc same chwasty nie przytępi, istotnego talentu, owszem, jego orle czy sokole loty zaprawi siłą i wiedzą.* Więc znowu nie występujemy przeciwko poezyi, ale p. Ł. niepodobała się wzmianka o naukach ścisłych i gromi nas za to surowo.

Dalej lubo w art. „Powołanie wieszcze“ ze szczególnym naciskiem mówimy o związku nauki z poezyją i lubo, myśl tę najwyraźniej sformułowaną kilkakrotnie powtarzamy, pan Ł. utrzymuje że o tym związku zapominamy i naucza nas że nauka i poezyja są *równoległemi* wyrazami doskonalenia się ducha ludzkiego i w ostatecznych swych celach stykają się ze sobą. Gdyby p. Ł. żył w zgodzie z geometryją, toby wiedział, że linije równoległe niestykają się nigdy ze sobą i niezetkną się nigdy, choćby im to p. Ł. najgorliwiej w K. W. zalecał.

Pomijamy wszystkie inne *również uzasadnione* zarzuty, pomijamy także obronę potępionych przez p. Ł. artykułów: „W pierwszych szeregach“, Fanatyzm, Żona i Matka, —bo co do nich, śród potoku słów stanowiących dziwnie jaskrawą bachanaliją literacką, oprócz ogólników, niczegośmy się zgoła w recenzyi domacać nie mogli.

Kończąc, zapewniamy p. Ł. że ilekroć razy z jego krytyki Op. D. dojdzie do nas głos rozumny i uczciwy — tyle kroć z głosu tego skorzystamy z wdzięcznością, złośliwe jednak a niesumienne napady zbywać będziemy milczeniem, choćby nawet dla *skutecznego na nas nacisku,* użył p. Ł. innego jeszcze do swych podjazdów i to tak poczytnego organu jak Tygodnik Romansów i Powieści....

* * *

Załatwiwszy się w ten sposób z p. krytykiem z Kuryjera Warszawskiego mamy do spełnienia inny przyjemny już obowiązek. Za obowiązek taki uważamy wyrażenie szczeréj naszéj wdzięczności *P. Filipowi Sulimierskiemu* Redaktorowi pisma tygodniowego „Wędrowiec” który przeciwko filipice P. Ł. wystąpił w *N-rze 119 Kuryjera Codziennego*— Oto co pisze tam P. Sulimierski:

Szanowny Redaktorze!—W Nrze 109 K. W. pan *Ł.* wystąpił „w imie zdrowego rozsądku” przeciw frazeologicznym artykułom wstępnym *Opiekuna Domowego.* Przyrównywa je do romantycznych bredni Don Kiszota. Po odczytaniu złośliwéj krytyki p. *Ł.*, przyszedłem do przekonania, że „zdrowy rozsądek” w imię którego chwycił za pióro, jest czystéj wody „majaczeniem.” Artykuły wstępne *Opiekuna* ulegają poniekąd frazeologicznej słabości, ale myśl w nich zawsze zdrowa, cel szlachetny, pogląd na warunki życia i postępu jasny. Zarówno „Fanatyzm” jak i „Powołanie wieszcze” znamionują pióra, które stawiają zasady pewne i chociaż te zasady mogą się komuś niepodobać, nikt nie może powiedzieć, by one były mydlanemi bańkami frazeologii. Nie ten jest Don Kiszotem, kto zachęca do godzenia się z rzeczywistością, kto podnosi co chwila jasną stronę życia, kto uczy wytwałości wykazując konieczność obowiązku, kto zimną wodą faktów chłodzi gorączkę marzycieli, lecz ten, kto na każde zawołanie występuje z „poezyją” i usiłuje tym „wyrazem” zapobiedz wszystkiemu co go razi w rzeczywistości, kto łudząc siebie mamidłami wyobraźni i innych chce wprawić w złudzenie, kto serce, uczucie ma ciągle na ustach i tą tylko drogą wywiązuje się z obo-

— Kocham go!..

Nagle zaczęła płakać.—A on?.. a on?.. pytała się cicho.

— I on mię kocha!.. kocha!.. zawołała nagle—i zaniosła się konwulsyjnym płaczem—panna Bertel wpadła przerażona — zastała swoję panią w strasznym ataku spazmów, których niczem przez całą noc prawie nie możnabyło uspokoić.

Rano zmęczona i osłabła, zasnęła nieco—panna Bertel czuwała nad nią—Michel mając wzgląd na jej trudy, sam z galanteryją przyniósł jej śniadanie posilne—zapukał lekko do drzwi, i gdy mu równie uprzejmie dziękowała, wsunął głowę, popatrzył na śpiącą hrabinę—i uśmiechnął się znacząco. M-elle Bertel wyszła do przyległego pokoju i udzieliła mu szczegółów dzisiejszej nocy, że hrabina bardzo płakała, miała sercowe ataki—i choć od dawna już nieczuła się zdrową—dużo to jednak daje do myślenia.

Michel roześmiał się cichutko.

— Mój pan jak widzę, na starość niedołężnieje! jakże można zostawić młodą parę jakby umyślnie. Przeczuwałem ja, że to się źle skończy.

— Ale bo po co jeździ tak często?

— Que sais—je?—Mogąc być nie mężem, ale ojcem takiej ślicznej młodziuchnej kobietki, odlatywać ją co dwa tygodnie, właśnie wtedy, kiedy ma go z kim porównać, i ma foi, wcale na niekorzyść!

— No! hrabia jeszcze jest młody i przystojny.

— Ha! ha!—Trzeba się mnie zapytać!

— Przecież nie ma jeszcze trzydziestu lat.

— Tylko z górą czterdzieści!—Przecież u niego jestem od czasu, gdy pierwszy raz wyjechał za granicę!

— Czy to prawda, że hrabia był wdowcem nim się z panią ożenił?

— O!—to tajemnica!—odparł z słodkim zadowolnienia uśmiechem.

— Ah! c'est comme ça? monsieur Michel! zaczęła się dąsać francuzka.

— Mademoiselle! Charmante! — za wiele żądasz!

— Bardzo dobrze! Adieu!—kiedy tak! nie chcę słyszyć o przyjaźni.

— Ah! okrutna!—westchnął czule pan Michał, i ulegając namowie, prośbie i miłej obietnicy—opowiedział pod sekretem historyją, znaną nam nieco z ust Janowej.—Tylko poczciwa wieśniaczka, nie umiałaby dobrać wyrazów na określenie scen jaskrawych, o których nawet nie wiedziała, o stosunkach z panią Ruszczyc, o szaleństwach w Paryżu i Warszawie—co wszystko Michel dobitnie przedstawił i nie zważając na usiłowania panny Bertel, aby się zarumienić, wyłożył rzecz z prawdziwym *szykiem*.

— Więc on ma córkę?—spytała nakoniec panna Bertel.

— Ma!—ale nie wiem gdzie się obraca.

— Ah! Ah!—to nadzwyczajne!

— Proszęż o tajemnicę.

— A naturalnie!--Nie zapomnę o tym dowodzie zaufania, ale to szczególność!

Elodyja się poruszyła i zacna para musiała się pożegnać.

Dziwne przeznaczenie.—Michel dotrzymując sekretu przez lat szesnaście, wygadał się teraz, przed największą plotkarką z całej okolicy.

Hrabina Elodyja wstała, ale chora i zmieniona, przy dniu białym, wszystko jej się prawdziwiej przedstawiło, i przelękła się swego czynu, swych uczuć—siebie samej.—Niespokojna, drżąca, błąkała się po wielkich salonach—wzdrygając się za najmniejszym szelestem.—O zmroku zawołała Michela, i dając mu książkę, rzekła wibrującym jak przetężona struna głosem:

— Zanieś tę książkę panu Wiśniowieckiemu, i— i— poproś o inną—powiedz żem—żem chora!.. Michel ukrył uśmiech—i poszedł wypełnić zlecenie. Wszedł do biblijoteki cicho, chcąc zejść niespodzianie pozycyją Emanuela, ale skrzywił się zawiedziony—książe—biblijotekarz, siedział przy stole, lampa rzucała jasne światło na jego spokojną i szlachetną twarz—pisał katalog świeżo wypakowanych książek, które przeglądał co chwila.

— Pani hrabina — zaczął niby roztargniony.

— Co?!—rzekł Emanuel wzdrygnąwszy się lekko.

— Odsyła książkę—prosi o inną—choć nawet nie wiem, jak ją będzie mogła czytać.

— Comment donc?! jak się zawsze czyta!—odparł wybierając Emanuel.

— Eh!—Kiedy jak kto chory, to mu nie czytanie na myśli.

— Więc hrabina Elodyja chora?—spytał żywo Emanuel.

— Aj!—całą noc ataki nerwowe, płacze, awantury!..—rzekł z minką poufałą.

— Dla czego nie telegrafują do hrabiego i nie posyłają po doktora?

— C'est votre avis la? — zdziwił się Michél.

— Przecież tak powinniście zrobić!

— Hrabina nie chce!—Myśleliśmy o tym!

— Ah!—oto są książki.

Wracając Michel ogromnie kręcił głową. Albo ja, albo oni głupi! — zakonkludował wchodząc na wschody—i poszedł po srebrną tacę, aby na niej podać książki. Elodyja żywo je chwyciła i trzymała jakiś czas w ręku. Gdy kroki Michel'a ucichły za drzwiami, rozwinęła je i obejrzała spiesznie.

— Nie! nie!—nie ona, nie!—wyszepnęła z boleścią.—Walczy z sobą!—zawołała nagle, i lica jej zajaśniały dziwną radością.—Przebiegła salon kilka razy—uśmiechała się choć łzy ciągle płynęły po jej twarzy—a gdy zmęczona usiadła, znać marzyła czarowne obrazy, bo twarzyczka jej nabierała wyrazu z kolei to niewysłowionej tkliwości, to ożywienia wpół zalotnego, wpół dziecinnego. Cały wieczór zbiegł na marzeniu. — Tak przeszedł drugi, trzeci i szósty—bo hrabia nie wracał.

Elodyja rozmaite przechodziła fazy — w wyobraźni staczała okropne walki, zwyciężała, broniła się, wyczerpywała swoje siły—i stosownie do zakończenia jakie jej wysnuł —uśmiechała się lub płakała.—Emanuel codzień miał relacyją, że pani hrabina chora i nie wychodzi ze swego pokoju.

I tak rzeczywiście było. (*d. c. n*)

Z DZIEDZINY MOWY.

(Dalszy ciąg).

Nasza ortografija w ogólnym zarysie spornych punktów.

Kopczyński, we wszystkich pozostałych szczegółach polskiéj pisowni poszedł wogóle za powszechnym piszących zwyczajem, za piśmiennemi starych ksiąg śladami. Mowa ludu, który podówczas dla całego *Olimpu uczonych i poetów* był wzgardzonym *profanum vulgus*, niemogła zwrócić na się i nie zwróciła też bliższéj jego uwagi. Uczony nasz przyjmując tu i owdzie starą pisownią, niby porzuconą przez ślimaka skorupę, nie jest w możności zreformowania jéj *ku lepszemu*, wiązków życiowych, omijając je ciągle w praktyce. Przeciw takim to wieszczom, Don-Kiszotom, wystąpił *Opiekun Domowy* i... odezwały się nożyce. Rozczulony p. *Ł.* zapomniawszy o tym, że wyrzucał *Opiekunowi* frazeologiję, woła: „nie ma nic pięknego na ziemi (!) i w niebie (?) coby nie było poezyją,” „nauka bez poezyi jest polem popisu dla zjadliwych utarczek” (a poezyja bez nauki?); „nauka i poezyja sa równoległemi (?) wyrazami doskonalenia się ducha ludzkiego” i t. p., i t. p. Krytyk *Opiekuna Domowego*, rzuciwszy sie na zdrowe i praktyczne tendencyje tego pisma, radzi potym współpracownikom jego, aby troskliwiéj oddawali się kontemplacyi życia. Jeżeli rada szanownego krytyka ma ich doprowadzić do tego samego poglądu na życie, jaki on w swym artykule objawił, to nie powinni jéj słuchać. Wykazując potrzebę tolerancyi, szkodliwość marzycielstwa, korzyść z fizycznego doskonalenia sił, *Opiekun Domowy* daje najlepszy dowód, iż obserwuje życie nasze i jasno widzi jego niedostatki. Z resztą samo wystąpienie pana *Ł.* w obronie tych „którzy piszą wiersze” (boć inkryminowany artykuł *Opiekuna* mówi tylko o tych, nie o poetach) dowodzi najlepiej, że są u nas marzyciele, którym podoba się, sztuczne wzdychanie do nieokreślonych ideałów.” O poezyjo! Rychło-li nadejdzie pora, w któréj ludzie zrozumieją, że jedynym godnym ciebie językiem jest *język czynu?*

Filip Sulimierski.

* * *

Wychowywać niezgodnie z prawami przyrodzenia, jest to psuć jego dzieło i kształcić potwory. Tę prawdę, wypowiedzianą przez Jędrzeja Śniadeckiego ma za godło dziełko D-ra Wiktoryna Kosmowskiego p. t. „*Rys Higieny dzieci w pierwszych latach ich życia.*” Autor pracę swoję przypisał matkom, a my pragnęlibyśmy iżby matki — a zwłaszcza wszystkie młode matki nabyły tę książkę i korzystały z rad w niéj pomieszczonych.

Higiena dzieci D-ra Kosmoskiego—podzieloną jest na trzy główne działy—*Dział I*, obejmuje warunki higieniczne rodzenia się zdrowych dzieci i mówi: O zawieraniu związków małżeńskich oraz o wpływie zachowania się kobiet brzemiennych na zdrowie dzieci—*Dział II*, obejmuje wiek niemowlęcy i zawiera następujące rozdziały: *a)* Ogólne uwagi fizyjologiczne nad organizmem dziecka, *b)* Pielęgnowanie noworodka, *c)* Karmienie niemowląt, *d)* O mleku, *e)* Karmienie niemowląt piersią matczyną, *f)* O mamce, *g)* Uwagi podczas karmienia, *h)* O sztucznym karmieniu niemowląt, *i)* Karmienie mięszane i odstawienie od piersi, *j)* O powietrzu i oddychaniu, *k)* Pokój dziecinny, *l)* Przebywanie na świeżym powietrzu, *ł)* Czystość ciała i pielęgnowanie skóry, *m)* O odzieży dzieci, *n)* O śnie dzieci i o ruchach dzieci oraz o ich noszeniu i chodzeniu—*Dział III*, obejmuje nakoniec właściwy wiek dziecięcy i mówi o wyrzynaniu się zębów — o rozwoju i pielęgnowaniu dzieci w drugim okresie ich życia—o żywieniu dzieci w tym okresie—o zabawach dzieci i o piastunkach.

Wyliczyliśmy same nazwy rozdziałów i sądzimy że są one najlepszą rekomendacyją książki—mającéj i tę jeszcze zaletę—że język w niéj gładki a wykład zrozumiały dla wszystkich.

Higiena dzieci D-ra Kosmowskiego—obejmuje 229 stron druku na ładnym papierze—a egzemplarz kosztuje kop. 75 w Warszawie, kop. 90 na prowincyi.

W skutku porozumienia się naszego z wydawcą—dla prenumeratorów Opiekuna Domowego, cena tego użytecznego dziełka obniżoną jeszcze została w Warszawie na kop. 52½ (Złp. 3 gr. 15) na prowincyi łącznie z przesyłką pocztową na kop. 60 (złp 4.)

bo nie pyta o objaśnienie ludu, żywego konserwatysty językowéj przeszłości. Dziś mowa ludu przekonywa nas, że samogłoski *y*, *i*, w następnych, pisanych postarożytnemu wyrazach: kondyc*y*a, Franc*y*a, miss*y*a, fur*y*a, lil*i*a (w dopełniaczu: kondy*cyey*, Fran*cyey* i t. d.), odpowiadają dźwiękowemu połączeniu *yj* (kondy*cyja*, Fran*cyja*), które w ustach ludzi piśmiennych, pospolicie kontrakcyi ulega; przyczym akcent z przedostatniej *wyjątkowo* na trzecią od końca zgłoskę się przenosi (kondýcyja, zamiast: kondycýja). Przeciwko archaicznéj pisowni powyższych wyrazów przemawia zarówno powszechny sposób ich wymawiania, jak i niecierpiąca wyjątków, sprawdzona umiejętnie zasada, mocą której wszystkie nasze tematy rzeczowne *stale* na spółgłoskę się kończą (tematem więc odpowiedniego wyzazu będzie *kondycyj(a)*, nie zaś *kondycy(a)*. Starożytniczy, uświęcony przez Kopczyńskiego nałóg, doznał smutnéj, już przez Felińskiego, jak się zdaje, wprowadzonéj naprawy; stygmatyczne *y* i cudzoziemskie *i* w wyrazach: fur*y*a, rac*y*a, wigil*i*a, kur*y*er, fac*y*ata—nieszczęśliwie, bo wbrew wszelkiéj umiejętnéj gramatyce—zastąpione zostało przez *jotę*. Koniecznym następstwem téj, nawskróś błędnéj pisowni jest samowolne, bo na dźwiękowym pozorze oparte, i w piśmienniczéj, a szczególniej poetyckiej praktyce bardzo niewygodne—skracanie odpowiednich wyrazów o jednę zgłoskę (*kon—dy—cy—ja* i *kon—dy—cja)*. Fonetyka i etymologija nasza występują tu w zgodnym ślubie przeciwko błędowi. Język polski nieznał i nie cierpi takich brzmieniowych zbiegów, jak: *rj, sj, tj, cj*, które w przetoku swym ze starosłowiańskiéj (t. j. pierwotnéj i *względnie w starobulgarskim języku oznaczonej)* dolechickiej mowy—określiły się w dźwiękach: *rz, sz, ć, cz*. Tematem *kakograficznych* form: *kolacja, fuzja, linja* byłyby dziwolągi: *kolacj—, fuzj—, linj—*, nieprzedstawiające żadnego punktu wyjścia do utworzenia z właściwego źródłosłowu powstałych wyrazów: *kolacyjka, fuzyjka, linijka*. Wartoby było, aby brukowe piśmiennictwo nasze porzuciło raz przecię tę iście *sromotną*, bo nieznajomość grammatyki zdradzającą pisownią!

W skréślonych dotąd pobieżnie i mimochodem rysach naszéj ortografii jesteśmy w ogóle w zgodzie z najznakomitszym polskim gramatykiem ks. Malinowskim. W rysach tych usiłowaliśmy zaznaczyć w sposób, o ile można, najkrótszy i najprzystępniejszy, trzy główne, rozwiązane z dzisiejszego stanowistanowiska nauki, kwestyje: pisowni 6-go i 7-go przypadku przymiotników, imiesłowu zaprzeszłego, i pisowni imion, w których skład wchodzi (w jaki sposób) połączenie dźwięków *yj, ij*. Teraz, dla zaokrąglenia skromnego naszego artykułu, postaramy się wyliczyć, i, względnie, w granicach możności rozwiązać, sporne, między nami a uczonym gramatykiem kwestyje

Zaprowadzone przezi Malinowskiego z całą umiejętną ścisłością godną podziwu erudycyją kreskowanie samogłoski *a* opiera się wyłącznie na historyi języka. Pochylone *a* (zbliżone w wymowie do samogłoski *o)* dalekim już jest od żywego poczucia narodu, a wieśniacy nasi, nieodznaczający się wogóle czystym wymawianiem samogłosek, sprowadzają najczęściej dźwięki: *a, á, o* do jednego wątpliwego brzmienia, do jednego niewyraźnego *o*. Wychodząc więc z zasady, że wszelkie językowe prawo, skoro tylko swe echo w narodowym poczuciu utraci, przestaje być obowiązującym i staje się martwym, wolimy zupełnie porzucić kreskowanie samogłoski *a*, niż wprowadzając w galwaniczne życie obcą ogółowi zasadę, wyjaśniać ją mozolnie i bezskutecznie w ciemnym spisie przykładów. Odrzucając jednak w wymowie i pisowni, jako niezrozumiałe dla szerokiego koła współziomków, pochylone *à*, przyjmujemy jednocześnie *żywe* tej *umarłej* zasady następstwo. Odróżnianie prostego, od pochylonego *a* jest już tylko wyblakłym wspomnieniem z ubiegłej przeszłości, a jednak podwójna końcówka biernika liczby pojedyńczej (*ę* i *ą*) rzeczowników i przymiotników żeńskich na tej jedno *zabytej* da się wyłożyć *podstawie*. Gdy przyczyny wskrzesić niepodobna, a następstwo istnieje, to badacze, określając to ostatnie, ku ogólnemu pożytkowi, posiłkują się zazwyczaj spółką opartych dorywczym spostrzeżeniu prawideł, które tylko w sposób ukośny i względny odpowiadają złożonemu w archiwach przeszłości świadectwu przyczyny. Tak samo postąpił sobie w tym razie uczony badacz języka, Malinowski. Wskrzesił on wprawdzie pochylone *a (á)*, lecz podobnie, jak inni, wskrzesił je tylko dla siebie i dla uczniów swoich; od ogółu współziomków niepodobna wymagać specyjalnej pracy na niwie językoznawstwa. Znajdujemy więc w jego dziełach odpowiedni zbiór wskazówek, zastępujących poczucie nieobecnego już prawa.

Zakończenie *ę* przyjmują wogóle w bierniku l. p. rzeczowniki z ostatnią tematową twardą (*babę, ławkę, misę*) lub pojedyńczą miękką (którą wyłącznie jest *j)* (zbroję, zgraję); toż zakończenie służy tym tylko przymiotnikom i zaimkom, które nieprzybierają określnika *ji, ja, je*, czyli, innemi słowy, które w pierwszym przypadku l. p. kończą się w rodzaju męskim na spółgłoskę, w rodzaju żeńskim na *a* (czyste), w rodzaju nijakim, na *o* (*on, ona ono, jeden, a, o)*. Wszystkie inne rzeczowniki, przymiotniki i zaimki przybierają w bierniku l. p. końcówkę *ą*, powstałą ze zlewku *à*, (pochylonego) ze spółgłoską *m*.

Po bliższe objaśnienie odsyłamy czytelnika do wzorców deklinacyjnych wyłożonych w „Krytycznej gramatyce języka polskiego.”

Pochylanie samogłoski *e* (ku brzmieniu *y*), jakby na stwierdzenie *estetycznych* Brodzińskiego („Rozprawy i wnioski” 1830 r.) i Łazowskiego *(*Gram. jęz. pol. 1848 r.*)* teoryj o stopniowym łagodnieniu językowych dźwięków, zaczyna powoli w mowie ludzi, więcej mających do czynienia z książką niż z życiem, płowieć i niknąć. Wychodzące od czasu do czasu gramatyki, jak niemniej i wykłady szkolne powinnyby, naszym zdaniem, ocalić usilnie ten ginący dla poczucia narodowego dźwięk samogłoskowy. Wątpimy jednak, aby się to na co przydało; zniknie prawdopodobnie w bliskiej przyszłości *é* pochylone, jak zniknęło pochylone *à* [1]....

Miękczenie w mowie, kreskowanie w piśmie końcowych spółgłosek rzeczowników: paw', krew' i t. p., oraz drugiej osoby l. p. trybu rozkazującego (mow', traf', rób' i t. p.), jakkolwiek gorąco zalecane i gruntownie dowiedzione przez naszego w gramatyce mi-

[1]) Przyczyny tych zjawisk znikania pewnych dźwięków szukać należy — z jednej strony w ogólnym dążeniu do wyjaśniania i uproszczenia brzmień językowych, z drugiej, w pośpiechu piszących i drukujących, a jedno i drugie usprawiedliwia prąd postępu, dający pierwszeństwo czynowi przed marzeniem, myśli, przed zewnętrzną jej oponą.

Szanowny Panie Redaktorze!

W N-er 6 Przeglądu tygodniowego, w rozbiorze dzieła E. Prądzyńskiego „o prawach kobiety,” (którego jeszcze nie mieliśmy sposobności poznać) wyczytałam tę uwagę. „że szkoła p. Tańskiej coraz bardziej traci uczniów i uczennice, a jej zasady tułają się tylko po niektórych pismach, i od czasu do czasu, jak trupy starannie przebrane i sztucznie ożywiane, zmartwychwstają w broszurach.” Jeżeli to jest fakt prawdziwy, uważałabym go za smutny, sprawozdawca zaś zdaje się cieszyć się nim jakby znamieniem postępu. Czekałam czas jakiś w nadziei że odezwie się głos jaki upominający się o dzisiejszą jeszcze użyteczność ulubionéj mistrzyni naszych lat dziecinnych. Ale dotychczas nikt się nie odzywa ja zaś i wiele innych osób pozostajemy w niepewności, czy dotychczasowe przekonania nasze były błędne i trzeba je radykalnie odmienić, czy też autor artykułu nie ocenił sprawiedliwie wartości pism Hoffmanowej. Zdawało mi się dotychczas, że tylko to w teraźniejszym postępie kobiet naszych jest dobrym, co jest jakby dalszym ciągiem i rozwinięciem wyobrażeń które Hoffmanowa nam przekazała; że można w jej pismach dopatrzeć wiele niedoskonałości, wiele braków, ale nie pojęć fałszywych któreby teraz obalać wypadało. Co więcej, zdaje mi się że tak forma jak i treść jej nauk jeszcze się nie zużyły, i że mają one dziś jeszcze żywotną wartość swoję.

W najpierwszym dziełku swoim „Pamiątka po dobrej matce” Hoffmanowa była wyrazicielką tej reakcyi, która nastąpiła po zepsuciu smaku i skrzywieniu moralnych wyobrażeń przez ckliwo- sentymentalne romanse. Celem głównym pisma umierającej matki jest ochronienie córki od przesadzonéj i nierozsądnéj czułości. Wszak i teraz jeszcze sentymentalność, czułostkowość, owa parodyja prawdziwego uczucia, karconą jest i wyszydzaną w pismach postępowych.

W następnym ważnym dziełku „Amelija matką czyli nauki religii” widać wyraźnie że autorka, nie odstępuje od zasad kościoła do którego należy, jednak że zdania i nauki swoje czerpie daleko więcej z poglądów czysto- chrześcijańskich.

Powiastkom jej historycznym krytyka możeby znalazła wiele do zarzucenia, jednak nie pod względem dążności która wszędzie jest zacna, prawa, i na dziś jeszcze pożądana.

W innych powiastkach i pismach moralność ta jest czysta i żadnego rodzaju fanatyzmem, uprzedzeniem ani zbytnią idealnością nie zaćmiana, z resztą takie trzymanie się w granicach domu i brak pretensyi co do rozstrzygania kwestyj społecznych, że można by chyba zarzucić nieraz że „powiedziała za mało” ale nie „powiedziała źle lub fałszywie.”

Zarzucano Hoffmanowéj hołdowanie arystokracyi. Chyba to można jej poczytać za winę, że wykrywaniem ujemnych stron domowego życia nie wypłacała się bogatym damom dla których miała obowiązki wdzięczności; bo zresztą pochlebstwa i kadzideł w jej pismach trudno dopatrzeć; owszem, obrazki towarzystwa Warszawskiego w „Karolinie” i wiele innych okazują wyraźnie brak sympatyi autorki do obyczajów wielkiego świata. Nawet powiastki dla dzieci (np. Listy Manisi) dowodzą w jak rzetelnym świetle widziała i potępiała wady narodowe, z których i dziś jeszcze nieszczęścia nie wyleczyły zupełnie wyższej warstwy naszego społeczeństwa. Nakoniec jasną jest rzeczą że przebywanie Hoffmanowej wśód arystokracyi nie wzbudziło w niej pogardy ani obojętności dla klas niższych, że cały naród jedną miłością obejmując, pisała dla wszystkich, że każda jej kartka tchnie gorącą chęcią oświaty ludu i pragnieniem zgody i braterskiej jedności w społeczeństwie naszym.

Była ona zresztą w poglądach swoich postępową.

strza (Malinowskiego), przyjętym przez nas być nie może, na podstawie powyżej wygłoszonej zasady, która raznazawsze martwym językowym pamiątkom do przybytku pisowni zamyka drogę. Dziś bowiem nikt, mimo przestróg specyjalisty i niezaprzeczonej morfologicznej podstawy, nie miękczy ostatniej spółgłoski w wyrazach: mów, traf, rób; prawo tu, jak i gdzieindziej, prawem, a zwyczaj, zwyczajem [2]).

Czujemy również i poznajemy, wraz z naszym mistrzem, że każde *i* jotowanym być musi, ilekroć samo sylabę stanowi (jigła, jilość i t. d.); wolimy się jednak domyślać owej joty przy podobnej do niej samogłosce, aniżeli tracić bezowocnie czas na jej pisanie i gęstym szeregiem kropek pstrzyć pedantycznie druki. Niechcemy bowiem ani na chwilę zapominać o tym, że *prostując ortografiją wedle polskiej fonetyki i etymologii, dążymy do jej uproszczenia i ujednostajnienia, ku wspólnej naszej wygodzie.* (*d. n.*)

[2]) Prawodawcą więc dla ortografa jest zwyczaj, lecz *zwyczaj powszechny*, którego w naszym pobieżnym zarysie ani na chwilę nie traciliśmy z uwagi.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

Jan Zacharyjasiewicz.

(*Ciąg dalszy.*)

Czytelnicy atoli wiedzą, że p. Z. nie zawsze poruszał się w tych podniosłych sferach, do których wprowadza za sobą społeczna jakaś idea, dobro ogółu mająca na oku. Owszem, większą część pism swoich poświęcił p. Z. sprawom powszednim, codziennym, obowiązującym równie silnie do noszenia krawatu jak do wykonywania katechizmowych przepisów. Pod skrzydła swojej powieściopisarskiej opieki, wziął on całą cierń jednodniowych bohaterów—Leonów i Stefanów, Agatonów i Prosperów, słowem owych Pawłów i Gawłów, którzy w różnych metamorficznych kształtach śpiewają lub płaczą, skarżą się lub dumnie potrząsają głową, myślą lub wegietują przez jeden, dwa lub trzy tomy, ażeby koniec końców ulecić do nieba lub stanąć przed ołtarzem. Cały ten świat *małoludów*, od którego nikt z nas pod karą posądzenia o niezrozumiałość, wyłączać się podobno nie może, ma swoje interesy, żyje i krząta się jak może, znajduje też swoich Homerów lub Wirgilijuszów przynajmniej. Rzecz to powszechnie znana, na którą skarżą się tylko wygwizdani na scenie życiowej pesymiści. Pytanie więc jak się p. Z. z powołania swego—piewcy małoludów—dotąd wywiązywał?

Któż śmiałby zaprzeczyć, że w sprawach tego małego światka, najważniejszą rolę odgrywa tragedyja, albo—co częściej—komedyja miłości, tej pospolitej a jednak miłej czarodziejki, co wywołuje wykrzykniki, spazmy i pocałunki?..... Od takiego lub innego określenia jej przymiotów, od takich lub innych sytuacyj, w jakich ją słuchacz znajduje, zależy zaciekawienie i wartość utworu jej poświęconego, utworu jedynego, który większość czyta od jednej okładki do drugiej. Można twierdzić na pewno, że p. Z. specyjalnie i to z wielkim zamiłowaniem traktuje wspomnianą dopiero co kwestyją. W powieściach jego znajdujemy szczegółową, drobiazgową nawet dyjagnozę miłości w ogóle i serca kobiecego w szczególności. Nie jest on ani zbyt zapalonym chwalcą cnót niewieścich, ani też zbyt gorzkim szydercą. Zarówno jasne jak i nieco przyćmione strony „pań rodu ludzkiego", starannie bywają zbierane w jeden artystyczny bukiet światła lub cieniów. Ubóstwia on miłość prawdziwą i już to w długo-okresowych dytyrambach, już w zwięzłych refleksyjach, już też w całej treści utworu przeprowadza spowszedniałą już trochę, ale nie mniej przeto wielką myśl, że miłość tylko może sprowadzić na ziemię szczęście, ulatujące gdzieś od ludzi coraz dalej i dalej w niedojrzane obszary. Miłość coraz rzadsza na świecie—zastępuje ją zamiłowanie bogactw, blasku, wygód życia, zaszczytów, włączając w to naturalnie wyłączną miłość siebie, depcząc szczęście i życzenia innych, byle swoim zachciankom dogodzić. Oschłość serca, zmartwiałość, nudy, niezdolność do czynnego życia—oto główniejsze cechy dzisiejszej młodzieży. P. Z. jest zwolennikiem cichego, spokojnego uczucia. W historyi jego bohaterów i bohaterek powtarza się nieraz taki wypadek. Bohater poznaje jakąś skromną panienkę w zaciszu wiejskim, budzi w niej serdeczny ku sobie pociąg i z jakiejkolwiek przyczyny oddala się od niej, szukając w świecie szerokim mary szczęścia, gonią poomacku za ideałami. Po wielu próbach, które moralnie go męczą i przygnębiają „zawiedziony i rozczarowany" wraca do owego wiejskiego ustronia, znajduje tam zadumaną i tęskniącą Zosię czy Julkę, znajduje także gotowego drużbę—i co za tym idzie, gotowy ołtarz i gotowego księdza. Długo błądził „burzami życia miotany" i wreszcie kotwicę zarzucił tam, gdzie pierwszego niezapomnianego doznał wzruszenia. Bo iluzyje stanowią połowę życia ludzkiego, pokazując w dali za zasłoną urojone widziadło, którego rzeczywistość jest tuż przed nami. Jeżeli miłość, powiada p. Z., nie ma głębszych podstaw; jeżeli się nie zrodziła w duszy, jeżeli nie wiążą jej *wyższe przymioty kobiety*:—to musi w takim razie rozwiać się, jak nikną i rozwiewają się mgły jesienne pod okiem słońca. Cały ten sztuczny blichtr i szych czernieje przy świetle dziennym; a wtedy zdarza się, że *wielbiciel sam sobie nie wierzy*, aby go kiedykolwiek coś podobnego zajmować mogło." Wyleczenie się z owych złudzeń stanowi oś obrotową większej części powieści p. Z. Oczywiście, co tu powiedziałem o mężczyznach, stosuje się również i do kobiet, chociaż w szczuplejszym zakresie. Kobiety bowiem są albo bezdusznemi lalkami, albo wyrafinowanemi kokietkami, albo też silnie kochającemi od początku do końca idealistkami. Wyjątki zdarzają się dość rzadko, zwłaszcza kiedy się bierze pod uwagę średnią miarę wykształcenia kobiecego, jaka zazwyczaj w sądach p. Z. przeważa.

Obok tej idealno-uczuciowej lub wyrachowanej strony serca kobiecego pojawia się u naszego powieścio-pisarza od czasu do czasu bunt przeciw postanowionym z góry wzorom i kobieta staje się—zmysłową marzycielką. Nudzi ją życie powszednie, mierzone godzinami śniadania, objadu i kolacyi, chciałaby pomarzyć, pobujać—mając lat czterdzieści parę. „Ach, wy mężczyzni, nie znacie kobiet —powiada jedna z nich.—U was kobieta powinna być *dobra* na pierwsze wejrzenie, *dobra* po ślubie, zawsze *dobra*, nieznośnie *dobra* —aż do śmierci... Kobieta powinna być jak *kameleon*: powinna się mienić w tysiączne barwy, powinna niepokoić was i dręczyć niepewnością aż do ostatka. Tylko taka kobieta może być kochaną i pożądaną całe życie, bo dobra, wiecznie jednako dobra kobieta staje się u was sprzętem domowym, którego

---

Choć jej zasady od początku do końca jej działalności autorskiej pozostają zawsze jednakowe, jakiż jednak widać postęp i jak znaczną różnicę od nieśmiałych zdań wyrażonych w „Pamiątce" w „Listach o wychowanie"— do przekonań stanowczo objawionych w „Krystynie" o potrzebie wyższego światła, gruntowej i porządnej nauki dla kobiety, o konieczności fachowego praktycznego uzdolnienia, czyli rzemiosła; „Krystyna" drukowana 1841 r., ze swoich poglądów mogłaby ujść za dziełko dziś napisane, i dziś jeszcze bardzo mogłaby być użytecznym.

— W dziełku „O powinnościach kobiet", które jest jakby streszczeniem wszystkich jej zasad i przekonań, autorka tak się wyraża: „jednym z najpożądańszych celów pracy mojej jest ten, aby wytępić nazawsze wszelką wątpliwość jakoby światło niepotrzebnym dla kobiet być miało. Kobiety powinny być światłe, tyle mają dobrego do czynienia z powołania swego, a czynić dobrze światło tylko uczy."

Zdarzało mi się słyszeć i ten zarzut, że Hoffmanowa uświęcała niejako niewolę kobiet, prawiąc im ciągle o uległości jaką winny są mężom. Zdaje mi się, że w tym opacznie tłumaczą słowa jej i naukì. Wdzięczne obrazki skromnych i uległych niewiast polskich tu i owdzie w jej pismach rozrzucone, są to malowidła przeszłości, są to wzory cnót które miały niegdyś swoję racyją bytu, a na które spojrzeć i nam czasem nie zawadzi. Ale jej własna opinija w tym względzie najlepiej się maluje w następnych kilku wyrazach z *Krystyny*. Pisząc o ojcu swej bohaterki, o jego ożenieniu, powiada autorka: „nie chciał on mieć w swojej żonie ani niewolnicy, ani pani, chciał mieć pomoc podobną sobie", uległą—bo słabszą. [1]) W listach znowu Krystyny do Anieli rozwinięte są bardzo trafne myśli o pozornej nieraz wyższości kobiet...

— Zważywszy to wszystko, zdaje mi się, że ta, której tak wymowny położono nagrobek: „Matce dzieci polskich mogłaby i teraz jeszcze być ich matką; a jej rady zdałyby się bardzo młodemu i rosnącemu teraz pokoleniu, gdyby tylko chciało je czytać, gdyby go od tego nie odwracała moda i pobieżne zdania zasłyszane tu i owdzie, że jej dzieła są już spróchniałą i nieużyteczną starzyzną.

— Takie jest przekonanie moje i wielu innych jeszcze osób, może być jednak, że się mylimy, możeby jaśniejsze wytłómaczenie przekonało nas, że pojęcia Hoffmanowej były całkiem fałszywe; w takim razie odstąpilibyśmy od nich, pewni, że tym krokiem nie ubliżamy tej, która przez same dobre chęci swoje już ma dosyć zasługi i która sama dla miłości prawdy i dla dobra wzrastającego pokolenia pewnie by gotową była do własnych błędów się przyznać. *T. K.*

[1]) T. 2, str. 51.

Przyp. Red. Przegląd Tygodniowy może zbyt jaskrawo ocenia ujemne strony dzieł Tańskiej, nie odmawia jej jednak (na innym miejscu) i pewnych zasług, których skala w swoim czasie bardzo była znaczną; a i dziś jeszcze jak słusznie pani uważasz dzieła Tańskiej są cennym pedagogicznym materyjałem jeśli tylko usuniemy z nich niektóre szczegóły niezgodne z duchem i ideami wieku.

* * *

Na wzór kasy pożyczkowej przemysłowców Warszawskich—kasy która Bogu tylko wiadomo ilu biedniejszych, zwłaszcza rzemieślników i przemysłowców postawiła na nogi—ilu z nich z lichwiarskich szponów wydarła—ma być jak dowiedzieliśmy się z *Kaliszanina* utworzona w Kaliszu *„Kasa pożyczkowa dla rzemieślników i drobnych przemysłowców"*. Zaraz po wygotowaniu ustawy—uczynione będą o jéj zatwierdzenie odpowiednie kroki do Władzy. Wartoby, aby za dobrym przykładem Kalisza poszły i to jak najprędzéj wszystkie nasze większe miasta — bo w każdym z nich—kasy takie znajdą z pewnością obszerne pole działania.

jesteście najspokojniejszemi aż do znudzenia właścicielami.“ Gdyby to zdanie wyszło z ust samego p. Z., uważałbym je zapewne za karygodną herezyją; — w ustach kobiety żądnej wrażeń, było bardzo trafnym spostrzeżeniem, bo malowało wewnętrzny stan jej duszy. „Była ona już wprawdzie dawno za progiem owych lat gorących, w których serce kobiety z gorączkową namiętnością chwyta ostatni puhar rozkoszy i uniesień, zanim ją zmarszczki i włos biały lodowym okryją całunem; ale silna jej wyobraźnia umiała tak żywo reprodukować obrazy młodości, że samo wspomnienie napawało ją połową rozkoszy, jakich używała za lat młodszych. To odziewanie ubiegłego życia było dla niej dzisiaj jedynym zajęciem, jedyną namiętnością, której oddawała się z zachwyceniem. Zdawało się, że w tych ekstazach traciła połowę swego wieku, stawała się dziecinną, płakała z nadmiaru rozkoszy jak młoda dziewica, czując pierwszy uścisk miłosny“. Była to chwila, w której wymagania wieku skłaniały ją do dewocyi.

Kobiety p. Z. zachowują się zupełnie *biernie*,—jeżeli oczywiście manewrów kokietek w celu pozyskania sobie mężów nie będziem uważali za dotykalny objaw samodzielności. Poddają się one wszystkim wpływom i wszystkim okolicznościom bez śladów słabego nawet przeciwdziałania. Są cnotliwe ale cnotę swoję zawdzięczają po większej części temu tylko szczęśliwemu składowi rzeczy, że nie znalazły na swojej drodze żadnego silniejszego umysłu, któryby im ścieżkę niesławy różanemi usłał liśćmi. Bywa też jeszcze inny stosunek. Kobieta chyli się już ku pochyłości moralnej, ale zrządzeniem losu (nie własnym namysłem i to właśnie godne uwagi), widzi przed sobą jakąś zaporę, która przyspieszony jej krok powstrzymuje. Taką zaporą jest np. obowiązek matki, podsuwany jak w teatrze maryjonetek w postaci małej córeczki przez rozsądnego męża (*Zakazane owoce*) przed oczy bałamucącej się żony. Córki posiadające nawet z pozoru bardzo głębokie uczucia, idą nie za poszeptem serca, ale za poszeptem dumy lub mamony, za poszeptem ciotek i babek, arystokratek i dewotek. Co większa, uważają się za zupełnie niewinne, jeżeli skłamią swemu sercu, jeżeli prawdę życia przefrymarczą za szychową ułudę. Za przykład tego najdobitniejszy posłużyć mogą *Dzieje ideału*. Nieposzanowanie to woli rodziców, nie głębsza jakaś idea powoduje ich do takiej obłudy, ale po prost brak energii, braku woli. Sądzimy, że po podobnej utracie bohaterowie zbyt długo płakać nie będą. (*c. d. n*).

SŁOWIANIE I NIEMCY.

(*Ciąg dalszy*).

Że dawniej świat naukowy nie lekceważył tak znaczenia Słowian, jak to ma dzisiaj miejsce, o tym przekona nawet słabe wczytanie się w dzieła historyczne i geograficzne z XVI i XVII w. Polska i Czechy są tam zwykle traktowane na właściwym miejscu i podnoszone bywają słuszne ich zasługi. [1]) Co prawda, Czechy ściągały na siebie ze strony katolickiego Zachodu niechęć, a nawet oszczerstwo, jako kraj kacerstwem zarażony, ale lekceważenia wzgardliwego nigdy. [2])

[1]) By długim wyliczeniem się nie bawić zwracamy tylko uwagę czytelnika na Polonia i Bohemia w zbiorze Elzewirowskim.

[2]) Eneasz, Sylwijusz, późniejszy papież Pijus II-gi, napisał kronikę czeską, rozumie się ze stanowiska nieprzyjaznego—mimo to oddaje im w wielu rzeczach ogromne pochwały, a mianowicie wynosi stan oświaty i rozwinięcia umysłowego. Takie świadectwo ze strony nieprzyjaciela ma bardzo poważne znaczenie.

Nie zawsze sami Niemcy traktowali plemię naszę z tą wyniosłością i poniewieraniem jak dzisiaj. Stary Röhrer, piszący o obyczajach słowian w Austryi, (Versach über die slawischen Bewohner der österreihischen Monarchie 1864) oddaje im nieraz wielkie pochwały i nie waha się oburzyć na postępowanie z nimi i udzielić rodakom swym nauczkę, by się zbyt nad inne narody nie wynosili. Znanym powszechnie jest sąd Herdera o Słowianach, jego obrona praw tego plemienia, szczery zapał dla wewnętrznych jego przymiotów. (Ideen zur Geschichte der Menschheit. 1787 t. IV). Herder nawet nie waha się rokować Słowianom pięknej przyszłości. Ale już wtedy Gebhardi w uczonym, choć pełnym błędów dziele o historyi Słowian (1790—1797) dał przykład nienawiści i przesądów na pole czystej nauki przeniesionych. Dzieło Gebhardego wywołało w swoim czasie wiele hałasu i oburzenia, od tego czasu Niemcy uczeni przyzwyczaili nas do podobnych zjawisk tak, iż już nas raczej zdumiewają sądy sprawiedliwe i bezstronne, aniżeli powszechne w najpoważniejszych nawet pracach fałsze, potwarze i gaskonady. [3]) Są zapewne uczeni, uczciwością autorską przypominający Herdera [4]), a ileż to takich, ba, kto wie czy nie ogromna większość których najgłębsza uczoność nie zdołała wykorzenić niemieckiej pyszałkowatości i chełpliwości, co się już prawie drugą tego plemienia naturą stała [5]).

Historyja średniowieczna i nowożytna przedstawia nam między innemi obraz walki słowiaństwa z giermanizmem, pasowania się strasznego, trwającego do dziś dnia, końca którego przewidzieć niepodobna. Niemcy rezultat tej walki korzystny dla siebie uważają za dodatni zarazem dla cywilizacyi. Za taki naprzykład głoszą zupełne wygubienie słowiaństwa w ziemiach niegdyś Polabian, Pomorzan i Szlązaków. „Cywilizacyjna misyja germańska, mówi Weber (Weltgeschichte t. VI str. 168) szła ręka w rękę z zaprowadzeniem chrześcijaństwa u tych słowiańskich plemion, które w nieustannym rozerwaniu zużywały swoje siły żywotne na wojowniczej swawoli i szkodliwej nieprzyjaźni przeciw chrześcijańskim instytucyjom.“ Tenże sam Weber daje nam obraz życia Polabian, według Ludwika Giesebrechta. (Wendische Geschichten 1843) [6]) skreślony, który wystawia nam te ludy, jako stojące już

[3]) Jako przykład jeden z tysiąca możemy przytoczyć i u nas znaną Historyją Powszechną Henryka Dittmara—pycha giermańska łączy się przedziwnie z pietyzmem protestanckim, nie ustępującym najzawziętszemu ultramontanizmowi, zenitem jest zakończenie dzieła, obejmujące wywody z całości.

[4]) Do najchwalebniejszych wyjątków należy między innemi, dzieło obszerne i gruntowne Konitza o Serbii. Konic robiąc porównanie między Niemcami a Serbami, przyznaje żc ostatni są wyżsi pod względem poczciwości i prawości charakteru — jakżeż to odbija w tej powodzi przechwałek o deutsche Gemüthtichkeit und Biederkeit.

[5]) Jak dalece najsilniejsze nawet umysły w Niemczech zacięcie zamykają oczy, ilekroć się ich pychy narodowej tyczy, niech posłuży za przykład znany spór Quatrefage'a z Virchowem o pochodzenie Prusaków. Virchow, zaprzeczający przymieszki słowiańskiej w swych ziomkach, przeczył oczywistym dowodom historycznym, nietylko antropologicznym. Ironija losu chciała, że sam uczony nosi nazwisko całkiem słowiańskie—nazwisko to bowiem ze źródła niemieckiego wytłomaczyć się nie da, a jest niczym tylko przymiotnikiem dzierżawczym od wyrazu *wirch* (nasze wierzch) t. j. góra. Takich nazwisk u Prusaków niemało—a wszystkie świadczą za Quatrefagem, nie jedna rodzina (np. Zastrowów) do dziś przechowuje u siebie wspomnienia rodowe o pochodzeniu od przodków, niegdyś władyków Lutyckich Bodryckich lub Pomorskich. Czyżby znakomity mąż uważał plemię nasze za tak upośledzone, iż poczytuje sobie za ujmę posądzenie, że w jego żyłach kropla tej pogardzonej krwi płynie?

[6]) Mówiąc nawiasem, Weber miał pod tym względem daleko dokładniejsze źródło w pracy Hildferdynga o Baltyckich Słowianach. Wendisehe Geschichten przy swojej chaotyczności jest dziełem już przestarzałym; Weber mimo to przepisuje całe karty z niego

na pewnym, wcale nie niskim stopniu kultury, pomimo pogaństwa, w jakim zostawały. Szczegóły walki znamy z kronikarzy niemieckich; widzimy w niej okrucieństwo Henryka Ptasznika, margrabiów Gerona i Thiadryka, Albrechta Niedźwiedzia, Henryka Lwa, ich zdradę i chytrość, obłudę i dzikość apostolującego duchowieństwa, legiją merseburską z ułaskawionych zbrodniarzy złożoną i puszczoną na słowian, wymordowanie trzydziestu żupanów sztoderańskich na uczcie u Gerona i t. p. fakta, charakteryzujące wybornie naturę tych cywilizacyjnych zapasów. Jakiemi środkami pokonani Polabianie zostali zgiermanizowani, jak się dokonała owa *Aufnahme der slawischen nationalität in die deutsche* (Giesebrecht I str. 94, Weber t. VI str. 26) nikt dotąd pełnego nam nie przedstawił obrazu, ale oderwane szczegóły pozwalają domyślać się z jakim podeptaniem wszelkich praw sprawiedliwości, a nawet ludzkości dokonać się to musiało. [7]) Dziś prócz słabiutkiego odgłosu w szamotaniu się Łużyczan nie pozostało żadnych widomych śladów tej walki; po wsiach wendyjskich ostatni starcy, co jeszcze mowę swych dziadów umieli, wymarli sto lat temu z górą, ale czy to zwycięstwo przyniosło rzeczywiście tak błogie owoce, jak nam Niemcy głoszą, czy tylowiekowe przyzwyczajenie do tępienia nieprzyjaznego żywiołu nie wycisnęło na charakterze zwycięzców jakich ujemnych znamion, tego pytania ostatecznie rozstrzygać nie ośmielamy się. Niepodobna jednak zapomnieć, że sami Niemcy niepochlebne świadectwo dają o meklemburskiej szlachcie, o jej średniowiecznym do niedawna stosunku względem ludu (t. j. potomków dawnych Bodryców), że pruska Junkerpartei (wnuki zdobywców lub renegatów lutyckich) także dobrej sławy nie używa.

Najnowsze badania uczonych (szczególniej tu zasługuje na uwagę Landau z Kasselu) wskazują, iż ujarzmienie i przerodzenie żywiołu słowiańskiego musiało mieć znacznie szersze jeszcze rozmiary i starszych sięgać czasów. (*d. c. n.*)

[7]) Wiemy, że dzieci urodzone z wendyjskich t. j. słowiańskich rodziców nie przyjmowano do rzemiosł i do cechów nie przypuszczano. Ucisk przez panów (t. j. potomków zdobywców lub renegatów słowiańskich) ludu (t. j. masy ze krwi słowiańskiej pochodzącej) w Meklenburgu i Prusach był o wiele okropniejszym niż w reszcie Rzeszy. Dziś jeszcze w Dolnych Łużycach wieśniak, zagabnięty po niemiecku, zwykle zamiast odpowiedzi, ucieka co mu sił starczy—wymowne świadectwo, jakim strachem napełniło ich kiedyś pojawienie się Niemca. W górnych Łużycach sami przekonaliśmy się o nieufności i niechęci, jaką łużycki wieśniak dla Niemca żywi, równie jak o oburzającej pogardzie jaką ten ostatni pierwszemu okazuje.

Wychowanie

ze stanowiska antropologii.

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO.

(*Ciąg dalszy*).

Ponieważ porównawczy czas trwania perjodu wychowawczego ma dla nas wielką ważność, przeto przedewszystkim zamiarem naszym jest rozpatrzyć stosunek jego do czasu trwania okresu rozwoju w macicy i do czasu trwania życia wogóle. Porównywując czas trwania zarodkowego rozwoju (to jest rozwoju, wewnątrz ciała matki) z czasem trwania okresu wychowawczego przed dojściem do dojrzałości płciowej, otrzymujemy następujące cyfry, (wyprowadzając ten stosunek dla człowieka, braliśmy lat 15 za termin nadejścia dojrzałości płciowej i mieliśmy na uwadze narody ucywilizowane zaludniające Europę).

Tak się więc ma czas trwania rozwoju wewnątrz macicznego, do czasu trwania rozwo-

ju zewnętrz macicznego przed dojściem do dojrzałości płciowej [1]) jak:

1 : 20	u	człowieka,
1 : 16	„	niedźwiedzia,
1 : 11,6	„	wydry,
1 : 9,3	„	słonia,
1 : 8,6	„	jeża,
1 : 4,7	„	psa,
1 : 4,2	„	dzika,
1 : 2,7	„	łosia,
1 : 2,5	„	kozła,
1 : 2	„	szczura,
1 : 1,2	„	kozy.

Z przytoczonych faktów wypada przedewszystkim, iż rozwój wewnątrz-maciczny stosunkowo najkrótszym jest u człowieka, a najdłuższym u trawożernych i u szczura. Okoliczność ta pokazuje wprost, iż dziecię, przychodzące na świat, przedstawia się mało rozwiniętym w porównaniu z oseskami i młodemi zwierzętami, i że dla tego właśnie, dla dokończenia jego rozwoju, potrzeba tak długiego terminu rozwoju zewnątrz-macicznego czyli wychowawczego. Wywód ten stwierdzają zupełnie bezpośrednie badania nad rozwojem części ciała u człowieka i innych ssących, jak to niżej pokażemy. Zobaczmy teraz, w jakim stosunku znajduje się czas trwania peryjodu wychowawczego do najdłuższego czasu trwania życia wogóle. Mówiąc o człowieku, przyjmiemy za termin peryjodu wychowawczego lat 20 (chociaż mieliśmy pełne prawo wziąć o kilka lat więcej); maximum zaś życia ludzkiego przypuszczamy w przybliżeniu na 130 lat. Wobec tego, stosunek peryjodu wychowawczego do czasu trwania życia będzie równy stosunkowi:

1 : 5,4	dla	człowieka
1 : 6,2	„	słonia,
1 : 8	„	niedźwiedzia,
1 : 8,7	„	lwa,
1 : 9	„	jeża,
1 : 15	„	psa i
1 : 19	„	dzika.

Widzimy stąd, że nawet dla rozwoju cielesnego (nie mówiąc już o psychicznym) u człowieka, potrzeba daleko więcej czasu (w okresie rozwoju zewnątrz-macicznego), aniżeli u innych ssących.

Stosunkowa powolność rozwoju ludzkiego w okresie zewnątrz-macicznym zależy nietylko od powolniejszych procesów wzrastania, ale też i od tego, że człowiek, przychodząc na świat, przedstawia nam się mniej rozwiniętym w porównaniu z innemi oseskami. Różnica między dorosłym a oseskiem objawia się najwybitniej w ustroju głowy, kości czaszki bywają w tym czasie połączone ruchomemi szwami, to jest czasowemi spojeniami, dającemi kościom większą ważność rozchodzenia się; okoliczność ta stanowi istotny warunek przy rozwoju mózgu. Spojenia czasowe, czyli tak zwana ciemiączka (fontanella) bywają najbardziej rozwinięte u człowieka i u najbliższych mu małp. Szczególnie mocno rozwinięte są u dojrzałego płodu ludzkiego dwa ciemiączka z których jedno (większe) mieści się pomiędzy kośćmi czołowemi i ciemieniowemi, i drugie (mniejsze) pomiędzy ciemieniowemi a kością potylicową. Oba te ciemiączka pojawiają się u drapieżnych ssących i u gryzących w postaci szczątkowej (rudimentarnej); w skutek tego, ogólna forma czaszki u osesków tych zwierząt, zbliża się więcej do kształtu dorosłej czaszki, aniżeli u małp w szczególności u człowieka [2]). U osesków zwierząt przeżuwających kości czaszki ograniczone już są zazębieniami, tworzącemi szwy.

Chociaż istnieje kilka faktów, świadczących o mniejszym rozwoju osesków niektórych ssących w porównaniu z nowonarodzonym dzieckiem, lecz fakty te, jako nieczęste i przechodnie, nie mogą zmieniać głównego rezultatu. Wiadomo, iż niektóre drapieżne, np. pies, kot—rodzą się ślepe, powieki u nich prędko otwierają się i oczy zaczynają wcześniej funkcyjonować, aniżeli u człowieka, rodzącego się z otwartemi już powiekami. Oprócz tego, ta pierwotna ślepota nie łączy się z niedokształceniem któregokolwiek z ważniejszych organów, i dlatego u wielu drapieżnych (np. u lwa) powieki otwierają się jeszcze przed urodzeniem. Nie trudno przekonać się o tym, iż wspomniane fakty, tyczące się historyi porównawczej rozwoju człowieka i innych wyższych zwierząt, muszą odgrywać bardzo ważną rolę, dla całego życia, w ciągu okresu wychowawczego. Z tych faktów wypada przedewszystkim, iż dziecko różni się od człowieka dorosłego daleko bardziej, niż każde inne młode zwierzę od dorosłego. Pomiędzy dzieckiem a człowiekiem dorosłym ciągnie się długi okres wychowawczy z całym światem szczególnych warunków;—u innych zaś zwierząt, których rozwój wychowawczy jest nam więcej lub mniej znany, różnica między młodym a dorosłym zwierzęciem jest tak niewielką i krótkotrwałą, iż pierwsze bardzo szybko dopędza drugie. Wywód ten jest nam konieczny, dla ocenienia udziału *naśladownictwa* w wychowaniu. Wiadomo, że wszystkie młode zwierzęta mają wielką skłonność do naśladowania postępowania dorosłych. Na tej zasadzie często dzieci nazywają „małpami”. Oczywiście, że im mniejszą jest różnica między młodym i dorosłym zwierzęciem jakiegokolwiek gatunku, tym pożyteczniejszą będzie rola naśladownictwa przy wychowywaniu młodego zwierzęcia. Młode zwierzę trawożerne, które rodzi się najbardziej rozwiniętym, i w tej chwili po przyjściu na świat okazuje się już zdolnym iść za matką, może ją naśladować pod każdym względem. W podobnym wypadku naśladowanie przedstawia, się jako najgłówniejszy i prawie jedyny środek wychowania.

Toż samo stosuje się w nieco mniejszym stopniu i do wielu innych zwierząt. Drapieżne, chociaż nie tak wcześnie jak przeżuwające, ale zawsze dosyć jeszcze prędko zaczynają swoje wychowanie. to jest idą za matką, naśladują ją w wyszukiwaniu pokarmu, urządzają takie same mieszkania, jakie robią ich matki, słowem posiłkują się wszystkiemi swemi naśladowniczemi skłonnościami w celu wychowawczym, i tym sposobem, bez pomocy pedagogicznego systemu, kończą swoje ukształcenie. Widzieliśmy wyżej przykłady takowego pomyślnego działania naśladownictwa w sprawie wychowania lisa i foki, i każdemu znane są podobne przykłady, co do młodych psów i kotów. Szczenię, widząc że duże psy pobiegły w którąbądź stronę i zaszczekały, samo biegnie w to miejsce i szczeka, nie pojmując dla czego się to wszystko odbywa. Widzieliśmy także, że naśladowanie odgrywa rolę bardzo ważną i pożyteczną w sprawie wychowania ludów nieucywilizowanych lub napół-ucywilizowanych, gdzie dzieci, bawiąc się, wyuczają się wszystkich czynności rodziców. Łatwo pojąć, że tu naśladownictwo niekiedy już może prowadzić *i nie do dobrego* ponieważ w sposobie życia „dzikich” ludzi spotykamy wiele rzeczy szkodliwych dla dziecka. Lecz, wziąwszy ogólną sumę, możemy przyjąć, że naśladowanie u takich ludów stanowi sprzyjający warunek wychowania. Dla tegoto, według wszelkiego prawdopodobieństwa, śród rodzin ludów „dzikich” kara względem dzieci praktykuje się daleko rzadziej, niż w „ucywilizowanem” społeczeństwie. Wielu podróżników twierdzi, iż indyjanie amerykańscy uważają karę cielesną za występek, iż tylko w ostateczności uciekają się do surowych środków. To samo opowiadają i o dzikich Afryki. Nie ulega żadnej wątpliwości, że naśladowanie swoich rodziców przez młode indywidua, najmniej może być pożyteczne w tych razach, gdy pomiędzy młodemi i dorosłemi indywiduami istnieje bardzo wielka fizyczna i psychiczna różnica. Podobnym warunkom najbardziej odpowiadają mianowicie dzieci ludzi ucywilizowanych. Rozumie się samoprzezsię, że między maleńkim chłopcem i jego ojcem, członkiem współczesnego społeczeństwa, będzie daleko większa różnica, aniżeli pomiędzy chłopcem dzikim, i jego nierozwiniętym, troszczącym się jedynie o wyszukiwanie pokarmu i innych środków do życia, ojcem. (*d. c. n.*)

[1]) Dane dla przytoczonych cyfr, czerpałem główne z tylko co cytowanego dzieła Brema.

[2]) Patrz Kehrer: Beiträge zur vergleicheuden und experimentellen Geburtskunde Zweites Heft. Giessen. 1868 trona 92.

ROZMAITOŚCI.

Ciekawy i pouczający jest rozwój dziennikarstwa w Stanach Ziednoczonych. Pierwsza stała gazeta ukazała się tam dopiero r. 1721 p. n. „The New England Current News” (Bieżące wiadomości z Nowéj Anglii). Jeszcze w r. 1754 było wszystkiego pism peryjodycznych 8. W r. 1776 było już 37, ale *żadnego codziennego.* W r. 1835 istniało już 1000, a między niemi *150 codziennych.* W roku zaś 1871, jak utrzymuje korespondent jednéj z gazet poznańskich, wszystkich pism peryjodycznych wychodziło 365,993(?), między niemi 600 codziennych, w ilości egzemplarzy 1,499,922,219. Jedynaście dzienników rozchodzi się w 100,000 egzempl., a 548 w więcéj, niż 5000. *Relata referimus.*

* * *

Towarzystwo historyczno- literackie w Paryżu wyznaczyło konkurs następny: „Zdać sprawę z wydawnictw historycznych, bądź opracowanych, bądź źródeł, przynoszących nowe fakty lub spostrzeżenia do historyi polskiej XVI, XVII i XVIII wieku, a ogłoszonych (porosyjsku) w ciągu ostatnich lat 20 w Kijowie, Moskwie i Petersburgu. Ocenić stronę naukową tych wydawnictw”. „Termin złożenia rozprawy naznaczony na 1 marca 1875; ma ona obejmować od 12 do 15 arkuszy druku; nagroda wynosi 1800 franków. Adresować można do Towarzystwa w Paryżu (Quai d' Orléans, 6) lub do p. Józefa Szujskiego (w Krakowie, uniwersytet Jagieloński).

* * *

Z nowości teatru Krakowskiego notujemy dwie sztuki, które znalazły podobno bardzo przychylne zajęcie, a u krytyków jakie takie uznanie. El...y (Adam Asnyk), pieśniarz liryczny, napisał dramat historyczny p. n. Cola Rienzi, w którym miał wiernie odmalować tego trybuna średnich wieków, marzącego o przywróceniu staréj rzeczypospolitéj rzymskiej, przedstawiciela wolności w idei, a tyrana i despoty w środkach. Wady odnoszą się głównie do układu sztuki i do skreślenia podrzędnych postaci. p. A. M. Fredro (syn) napisał dramat, który miał być społecznym, miał wytykać groźne skutki przejmowania się idejami zachodu. Jestto tyrada, okraszona dowcipem a wymierzona przeciw emancypacyi, małżeństwu cywilnemu, stowarzyszeniom międzynarodowym i t. p. Krytycy zarzucają temu dramatowi („Obce żywioły”) brak staranności w nakreśleniu charakterów, brak intrygi, wiązanéj mechanicznie, wreszcie niezgodność środków z zamierzonym celem.

Tendencyja została zupełnie chybiona. Dodatnią stroną jest dowcip, kalambury znane i naszéj publiczności, jak niemniej dokładna znajomość sceny.

* * *

W czaopiśmie niemieckim „Sybels Historische Zeitschrift” pomieszczone zostały krytyczne oceny siedmiu dzieł historycznych polskich: 1) Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków *Fr. Czerny.*— 2) Galiciana *Wład. Łozińskiego.*— 3) H. W. Nieczuja z Kochowa Kochowski *Adama Rzążewskiego.*— 4) Konfederacyja Barska w r. 1768.— 5) Pamiętniki J. M. Niemcewicza od 1800 do 1820 r.— 6) Akta Grodzkie i Ziemskie Rzeczypospolitéj Polskiej tom III.— 7) Codex diplomaticus Tinecensis wydany przez *Zakład Ossolińskich.*

* * *

D-r Karol Libelt, zagrożony zupełną utratą wzroku, zmuszony był poddać się we Wrocławiu operacyi dokonanéj przez profesora okulustę D-ra Förstera.— Operacyja udała się szczęśliwie i jest nadzieja że zasłużony estetyk uchronionym zostanie od strasznego kalectwa.

* * *

Russische Revue, czasopismo wychodzące w Petersburgu, opierając się na danych pomieszczonych w Atlasie Timarjasewa, w Roczniku ministerstwa finansów, dalej na katologu wystawy z 1870 roku, oraz na własnych informacyjach, podaje następujące statystyczne dane, które powtórzyć uważamy sobie za obowiązek. W r. 1869 Kr. Polskie posiadało 4,507 fabryk a tylko 39,000 robotników. Produkcyja roczna wynosiła $38\frac{1}{2}$ milijonów rsr. Szczegółowo fabryki przedstawiają się w następnym wykazie: Przędzalń bawełny 15, robotników około 2,000; produkcyja roczna 2,045,000 rsr.;—tkalni bawełny 1,080, robotników 11,800; prod. rocz. 260,000; przędzalń wełny 22, rob. 730, prod. rocz. 640,000; fabryk materyjałów wełnianych i sukna 400, rob. 4,000, prod. rocz. 10,000,000; tkalni jedwabiu 1 wielka i 8 mniejszych, rob. 140, prod. rocz. 40,000; fabryk papieru 78 rob. 500, prod. rocz. 1,300,000; fabryk skór 315, rob. 1.100, prod. rocz. $2\frac{2}{3}$ milijona; cukrowni około 50, rob. 12,000, prod. rocz. 8 milijonów; gorzelnie dają pracę 1,500 robotnikom; a roczna ich produkcyja wynosi 11 milijonów; fabryk maszyn było 36, rob. 1,600 prod. rocz. 140,000.

* * *

Wobec wygórowanej płacy, jaką pobierają nie tylko takie Nilson i Patti ale każdy lepszy tenor lub sopran, dobrze jest wiedzieć, jak to bywało przed laty. Parę przykładów zaczerpniętych z kart dziejowych artystycznej Giermanii uprzytomni nam najlepiej to porównanie. Przed stu laty pierwsze talenty niemieckie znajdowały się w takim położeniu, jak dziś jaka trupa prowincyjonalna, któraby się do Pacanowa zabłąkała. Jeżeli przedsiębierca robił *dobre* interesy, artyści pobierali płacę a jeżeli interesów nie robił, zadawalniali się połową, albo też—niczym. W *nadwornym* teatrze gotajskim etat płacy miesięcznej wynosił ogółem 542 talary *Eckhof* jeden z najsławniejszych artystów brał 12 talarów tygodniowo i 9 sągów drzewa *rocznie*, *Böck wraz z żoną* 18 talarów i tyleż drzewa. *Beil* 6 lat i 3 sągi, *Iffland* (aktor i dramaturg) 5 tal. i 4 sągi; Beck $1\frac{1}{2}$ *tal.* i *nic* drzewa.—Ackerman z dwiema córkami brał w Hamburgu 16 talarów tygodniowo. Nędzne położenie aktorów nie mało przyczyniało się do tego, że w społeczeństwie zajmowali wówczas tak niskie i pogardzane stanowisko. W roku 1745 Uniwersytet halski podał prośbę, żeby kazano rozpędzić tameczną trupę komedyjantów. Fryderyk II dopisał na marginesie: „To te duchowne dziwotwory (Muckerpack) temu winny. Komedyjanci niech grają a pan Franke czy jak się tam ów hultaj (Schurke) nazywa, niech przy tym będzie obecny, ażeby studentom za swoje głupie wyobrażenie uczynić publiczną *réparation*; komendant zaś niech mi przyśle poświadczenie, że tam był.” Fryderyk II lepiej w tej mierze się znalazl niż uczony uniwersytet. Wiedeńscy aktorzy gażę swoję zwiększali pobocznemi dochodami dziwnej natury, jak można osądzić z następującej taryfy: „Za każde wypchnięcie w sztuce 1 floren; za skok w wodę 1 floren, za skok przez mur albo ze skały 1 floren, za każde przebranie 1 floren, za cięgi 34 kr.: za każdy policzek (bierny) albo potrącenie nogą 34 kr., za czarną łatkę 34 kr., za oblanie 34 kr. Każdy pojedynkujący się 34 kr.—Ludzie istotnie znakomitym obdarzeni talentem, co sobotę robili obrachunek, w kasie z taką np. likwidacyją: „Tego tygodnia śpiewałem 6 aryj—6 florenów; raz wzlatywałem w powietrze—1 fl., raz skoczyłem w wodę—1 fl.; raz byłem oblany 34 kr.; otrzymałem 2 policzki 1 fl. 8 kr., raz kopnięto mię nogą 34 kr., z czego z największą wdzięcznością kwituję N.N.”

* * *

Towarzystwo księcia Jabłonowskiego w Lipsku ogłosiło konkursy na 4 lata od 1873 —76. Jeden z nich znany jest już naszym czytelnikom. Niedoszedł on do skutku; Towarzystwo więc przedłużyło termin, otrzymawszy bezimienne zawiadomienie, że wojna niemiecko-francuska przeszkodziła mu je wykonczyć. Zadanie określone tak: „*Źródłowe dzieje polskiego handlu zbożem z zagrancą*” (nagroda 60 dukatów) To. na rok 1873. Na rok zaś 1874 zadanie następne: „Szczegółowe zbadanie stosunku, w jakim znajdują się w obrębie rodziny indoeuropejskiej, języki grupy litewsko-słowiańskiej do języków giermańskich”. W opracowaniu używać można tylko łacińskiego i greckiego alfabetu, oznaczając dźwięki litewskie i słowiańskie podług systemu, którego trzymał się August Schleicher. Nagroda także 60 dukatów. Na rok 1875: „Dzieje rozpowszechnienia się i rozwoju języka niemieckiego w Prusach Wschodnich i Zachodnich aż do końca 15 stulecia ze szczegółowym uwzględnieniem wpływu jaki nań wywołały dwa niemieckie dyjalekty”. Nagroda 60 dukatów i zwrot kosztów podróży, jeżeli te dla zbadania przedmiotów okażą się konieczne. Na rok 1876: „Połów i handel śledźmi w zakresie morza Niemieckiego i Baltyckiego”. Nagroda 700 marek. Rozprawy mogą być pisane w języku niemieckim, łacińskim lub francuskim, zaopatrzyć je należy w moto, które powinno się równie znajdować na kopercie zawierającej imię i nazwisko autora. Czas nadsyłania rozpraw na każdy rok kończy się w miesiącu Listopadzie. Adresować należy do sekretarza Towarzystwa, którym na rok 1873 jest p. Fr. *Zarneke*, profesor literatury niemieckiej w uniwersytecie lipskim, redaktor czasopisma: „Literarisches Centralblat”, z którego wiadomości powyższe czerpiemy. Nagrodzone rozprawy zostają własnością Towarzystwa. Mało u nas wiemy o tym Towarzystwie, nagrody biorą sami Niemcy. Naturalnie na rok bieżący trudno żeby ktoś wygotował rozprawę; ale na 1874 byłoby rzeczą wielce chwalebną, gdyby który z naszych lingwistów zabrał się do opracowania interesującego i ważnego przedmiotu: zbadania stosunku języków słowiańskich do giermańskich i Niemcom palmę pierwszeństwa wydarł.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Józefowi Mowczynowskiemu w Skrawdzie. Szkoła na skrzypce Niedzielskiego, wysłana przed paru miesiącami przez księgarnię M. Orgelbranda, która na to odpowiedni kwit pocztowy posiada. Racz pan upomnieć się na stacyi pocztowej — a wrazie nie otrzymania—odnieść się wprost do rzeczonej księgarni.

Panu Zygmuntowi Stat. w Moskwie. Zapowiedzianą biblijoteczkę wydawać będziemy—prosimy o cierpliwość.

Panu Wład. J. Najzupełniej zgadzamy się na pańskie zdanie, z tym wszystkim i Pan zapewne zgodzisz się na to, że wszelkie chwasty wypleniać należy.

☛ Początek powieści „Hrabina Elodyja” oraz dodatek książkowy za miesiąc Maj—dołączamy przy dzisiejszym numerze.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.

DODATEK NADZWYCZAJNY
do Nr. 23 Opiekuna Domowego.

HRABINA ELODYJA.

POWIEŚĆ

MARYI SZELIGI.

* * *

Do iednego z wytwornych galanteryjnych sklepów w Warszawie, weszła młoda kobieta, a za nią stara sługa, z dużym pakietem.

Za zwyczaj nasze damy, wychodząc ze sklepu, unoszą różnej miary pakunki, a w zamian zostawiają masę pieniędzy, których wprawdzie co raz większy brak daje się czuć— lecz mimo długich rozpraw o konieczności zaprowadzenia ekonomii — niepodobna, nie wypada nawet odmawiać sobie przyjemności obejrzenia ładnych fraszek, i kupienia czegoś naturalnie; bo—jakże by to mogło być inaczéj?

Tak się dzieje w ogóle—a więc spojrzyjmy uważnie na młodą osobę w towarzystwie sługi z pakietem, i śledźmy ją jako wyjątek.

Pierwsze wejrzenie dobrze uprzedzało o guście i urodzie nieznajoméj:—była ubraną skromnie, ciemno, lecz z dziwnym wdziękiem i umiejętnością.

Postać jej wysoka miała ruchy swobodne, i spokojną pewność siebie. Lekkim skinieniem głowy powitała kłaniającego się jej z uszanowaniem subjekta, i zapytała o właściciela sklepu.

— Zaraz będzie pani służył! — odpowiedziano.

Ledwo kilka sekund minęło, a żądana osoba zjawiła się, podając młodéj kobiecie na powitanie rękę, jak komuś widocznie dobrze znajomemu, ale z niemniejszym uszanowaniem.

— Przyniosłam robotę—rzekła młoda kobiéta, biorąc z rąk sługi pakiet.

Poproszono ją do drugiego pokoju, i tam z pomocą dwu chłopców sklepowych, którzy także ją przyjaźnie pozdrowili, rozpakowała kilkanaście przedmiotów, które wywołały mimowolny okrzyk podziwu ze strony patrzących. Były to małe sprzęciki do ozdoby i użytku służyć mogące, z rzeźbionego delikatnie drzewa,— wykończone z prawdziwie dobrym gustem, starannością, i odznaczające się oryginalnością pomysłów. Znajdowały się tam i zręczne ramki, okładki do albumu, śliczne pudełka i małe półeczki, postumenciki i figurki; wszystko ładne, ozdobne, rzeźbione i oklejone artystyczną ręką.

— Brawo! panno Beato! jesteś pani co się zowie artystką, rzeźbiarką, i znakomitą introligatorką! zawołał kupiec, oglądając te cacka—co pani żąda za tę ładną robótkę?

— Cena każdego przedmiotu jest oznaczona na karteczce do niego przylepionéj— odparła.

— Hm! jest to piękne! ale i pięknych chcesz pani pieniędzy za drobiazgi zręczne, ale bez szczególnéj wartości!

— Pan wie, że nie podałabym ceny zbytecznie wysokiej, że liczę sumiennie koszt materyjału, i mało ceniąc czas i mozolną pracę, biorę wynagrodzenie, dające mi ledwo kilka złotych więcéj nad poniesiony wydatek!—powiedziała spokojnie panna Beata.

— Jednak wartoby cóś opuścić!— tym razem!

— A jednak pan sprzedaje każdy przedmiot jako wyrób zagraniczny za podwójną i potrójna cenę!

— Ha! niech i tak będzie! daje co pani chce, nie tyle dla wartości rzeczy, ale dla zacnéj pracy pani!—wyrzekł kupujący wspaniałomyślnie.

— Gdybym wiedziała, że nie mają wartości—nie przyjęłabym za nie grosza!— ale jestem dowodnie przekonana przeciwnie!—rzekła z dumą młoda robotnica, licząc podawane pieniądze i żegnając nieco zmieszanego pana kupca ukłonem.

— Polecam się pamięci na przyszłość —zawsze się przecież jakoś pogodzimy— mówił, odprowadzając ją aż na ulicę;— a Beata wyszła ze sklepu obfitującego w piękne bawidełka, bez sprawunku,—lecz z zadowoleniem i korzyścią. W istocie—należała do wyjątków!

Obok błyszczącego, powabnego sklepu—ośmieliła się stanąć skromna księgarnia —tam podążyła pracownica obojętna na przepychy — i z rozjaśnioną twarzą zaprenumerowała książki i nuty. Teraz już była znowu paczka do zabrania—dość duża i ciężka.

Sługa zrobiła swéj pani uwagę, że mają iść do miasta za kupnem wiktuałów — więc pakunek będzie zawadzał.

— To ja odeślę! — powiedział księgarz — tylko proszę o adres, bo, mimo że mam przyjemność panią od roku widywać, nie wiem miejsca jej zamieszkania i nazwiska.

— Ulica Czysta, Nr. 415.

— Nazwisko?—pytał daléj.

— Nazywam się Beata!—powiedziała, pochylając czoło.

— Imię pani znam, lecz nazwisko?

Nagły rumieniec oblał szlachetną, wyrazistą twarz zapytanéj;—dumnie podniosła piękną głowę, i z wysiłkiem lecz dobitnie, wyraźnie powtórzyła:

— Nazywam się Beata. — Proszę odesłać pod tym adresem książki za pół godziny—dodała już zwyczajnym tonem— i wyszła wraz ze swoją towarzyszką.

Księgarz osłupiały patrzył długo za odchodzącą—a potym ruszył ramionami, mrucząc:

— Nazywam się Beata! co za imię!.... ale jaka postać!......

Tajemnicza nieznajoma właśnie w téj chwili wchodzi w próg swego mieszkania. Na trzecim piętrze od frontu zajmowała dwa pokoiki, skromne, niewielkie— ale jasne i czyste—tchnące dziwną swobodą i weselem. Mała kuchnia, zastępowała także przedpokój— daléj większy pokój, ozdobiony prawdziwie artystyczną ręką, która z niczego potrafiła wydobyć gustowne umeblowanie, widocznie był bawialnią i zarazem pracownią młodéj rzeźbiarki. Potym malutki pokoik sypialny z białym łóżkiem i tualetą pokrytą kolorowym i białym muślinem—trochę ładnych fraszek, świeże u okna firanki i dużo kwiatów—oto cały przystrój tego pokoju miłego, wdzięcznego, w ktorym pierś oddychała lekko i swobodnie, wiała atmosfera szczęścia i promieniała młodość piękna i spokojna.

Nad łóżkiem wisiała fotografija osoby niemłodéj, wychudłéj kobiety z twarzą łagodną i cierpiącą. W głowach duży krucyfiks drewniany zapewne własnej roboty, był jednak pięknym dziełem — wyrobionym delikatnie i z uczuciem. Obok na małym również rzeźbionym stoliku stała druga fotografija, tworząca kontrast z pierwszą. Ładna, szlachetnych rysów twarz młodego człowieka, mogła służyć za typ męskiego wdzięku i młodzieńczéj urody. Na ramkach wśród splotów liści i kwiatów, było wypisane imię—*Emanuel*—zapewne imię tego, kogo przedstawiała fotografija. Beata wbiegła do pokoju, szybko zrzuciła kapelusz i rękawiczki—a potym, zasłaniając twarz rękami, stała długo w przykrym pogrążona dumaniu. Gdy spuściła dłonie, twarz jej była zalana łzami, lecz jak promień słońca przedziera się przez chmurki, i błyszczy w bryllantach rosy—tak uśmiech okrążył usta Beaty i czołu wróciła pogoda. Zbliżyła się do stoliczka, uklękła przed nim a patrząc z zachwytem na fotografiją młodzieńca, rzekła półgłosem:

— Przebacz mi mój ukochany, przebacz mi Emanuelu!... te łzy to niewdzięczność!...

Po chwili powstała spokojna i wesoła— i przeszła do pierwszego pokoju, gdzie usia-

dła obok dużego stołu zarzuconego dłutkami, drzewem, i różnemi przyborami do pracy.

Podczas gdy zabiera się do dzieła— i siedzi rzeźbiąc twarde drzewo— trzeba nam się przyjrzeć, i nakoniec dać dokładny obraz jéj twarzy.

Jużeśmy powiedzieli że jest ładną—ale piękność ma tysiące różnych odcieni— zobaczmyż, do jakiego należała nasza bohatérka. Blondyna, oczu ciemnych błyszczących, lecz z wyrazem niewysławionéj powagi i rozumu. Rysy jéj regularne, czoło wyniosłe, usta małe, z mocno narysowanemi kątami, wyrażały siłę i stanowczość, którą łagodził częsty uśmiech różowe okrążający wargi;—szyja i ramiona jak u bogini;—cała postać zręczna, wysoka, nakazująca mimowolnie szacunek. Taką jest Beata, niezawodnie piękniejsza od niejednéj laleczki o ładnéj bez wyrazu buzi. Liczyła dopiero lat ośmnaście—lecz wyglądała na dwadzieścia;—nie było to młode dziewczę rozkwitające wdziękiem wiosennym—była to już kobiéta dorosła, młoda, pełna życia, ale która niejedno w życiu czuła i widziała—i poznała świat, ludzi i siebie samę. Żaden zawód nie poorał jéj pogodnego czoła cierpieniem— ale usta były zdolne już wyrzec stanowcze słowo — i może nieraz je wypowiedziały. Nakoniec imie jéj wybornie przystawało do całéj osoby— w spojrzeniu i wyrazie było coś dającego się określić wyrazem „Błogosławiona”.

Pochylona nad stołem, pracowała ciągle aż do objadu, który jéj podała stara sługa, spoglądając na ukochaną panią wzrokiem widocznego przywiązania. Badała: Czy potrawy smakują, czy dobrze przyprawione? proszę powiedzieć szczerze?

—Wyborne! dziękuję wam Janowa! odparła Beata łagodnie—podnosząc oczy od książki którą podczas objadu z zajęciem czytała.

— Bo to—pani moja złota—za tę pracę, że by to—choć objad jadł się smacznie—ciągnęła daléj sługa, widocznie gadulska z natury—i długo mówiła o dobroci i pracowitości swéj pani, o pięknych wyrabianych przez nią cackach, o sprzedaży dzisiejszéj, a na koniec o za pytaniu księgarza. Mówiła półgłosem, wiecéj do siebie, z żwawą gestykulacyją, był to rodzaj myślenia głośno—opowiadania dla saméj siebie.— Beata widać przyzwyczajona do téj gawędy, czytała spokojnie, lecz ostatnie frazesy, wymówione ciszéj choć z oburzeniem tłumionym, zastanowiły ją, i odkładając książkę na bok—rzekła poważnie:

— Janowa! — wy znacie moje prawdziwe nazwisko?

— Panienko! Pani złota! ja nie wiem—nie powiem słówka! choć cię kocham nad życie swoje, nie mogę!.. zawołała sługa składając ręce.

— Dla czego? czemu okrywacie tajemnicą to, co już dawno wiedzieć powinnam?

— Panienko! nie moja w tym wina, ale nie dowiecie się nic odemnie—bom przyrzekła i raczéj sobie ugryzę kawałek języka, niż powiem zbyteczne słowo przed czasem! wyrzekła uroczyście Janowa.

— Więc nadejdzie pora odkrycia wszystkiego?

— Nie badajcie mnie pani moja! ja nic nie wiem. Ja bym wam nieba rada przychylić; ale tego nie mogę wydać, bobym ciężko przeciw umarłym zawiniła! i pocałowała rękę Beaty z pokorą, a potym wyszła z pokoju, bojąc się wygadać.

Beata znów chwyciła za dłutko i pilnie zaczęła pracować— ale ciche westchnienie uleciało ku niebu — zapewne oznaka tęsknoty i żalu do nieznanych rodziców.

II.

Znajdujemy się na ulicy Wierzbowéj, przed żółtą kamienicą, która niéma zbyt pysznego pozoru. Jednak wewnątrz, wschody dosyć wygodne, sień widna i czysta, wcale nieźle uprzedzają wchodzących o wygodzie jéj mieszkańców.

Na pierwszym piętrze przy jednych drzwiach prowadzących do pokojów, odznaczała się dużemi złoconemi literami wypisana tabliczka oznajmiająca nazwisko lokatora: *Marceli Wiśniowiecki* błyszczał wyzywający napis—odbijając od nieco brudnego kolorytu drzwi.

Za niemi było mieszkanie składające się z dwu niewielkich pokojów umeblowanych z pewnym komfortem, tylko rozmaitość sprzętów, z których każdy zdawał się należyć do innego garnituru, podawała domysł, że są to szczęśliwie uratowane resztki z rozbicia jakiegoś możnego domu. Symetryja w ustawieniu dużej kanapy machoniowej, stołu orzechowego, krzeseł dębowych, i paru jesionowych i palisandrowych stolików, była nieskażona—wszystko miało swoje miejsce—niezachwiane stanowisko. Drugi pokój był sypialnią, tu łóżko i stolik oraz wielkie lustro były jeszcze starożytniejsze, i dobrze wysłużone—lecz na ścianie wisiał obraz pięknej Wenus, kilka sztychów zabawnéj treści— i aż dwa paciorkowe do zegarka pantofelki, w towarzystwie strasznego tureckiego kindżału.

Gospodarz, pan Marceli Wiśniowiecki, siedzi przy stole w pierwszym pokoju —mocno zajęty gotowaniem kawy na stojącéj przed nim maszynce. Nie młody, średniego wzrostu, dobréj tuszy, okrągłéj, wygolonéj starannie twarzy—pan Marceli miał wyraz dobroduszny i słodki, który mu od znajomych jednał tytuł *Karmelka.* W tej chwili z należytą powagą obracał korbę młynka do kawy—i wciągając z upodobaniem lubą woń, poruszał grubomięsistemi wargami, przeczuwając smak przygotowującego się napoju.

Obok niego, z głową na ręku opartą, dumał syn jego—którego widzieliśmy już, na fotografii u Beaty. Był to ten sam młody człowiek, tylko szczuplejszy, bledszy—choć niebieskie, rozumne, jasne oczy—świeciły blaskiem duchowéj potęgi, i czoło białe, okolone puklami miękkich blond włosów, nacechowane było wyraźnie zacną i niechorobliwą myślą. Między ojcem i synem istniała cała przepaść różnicy—milczeli oba, aż pierwszy pan Marceli rzekł wolno:

— No! i cóż? panie Emanuelu! myślisz, dumasz, a przytym mizerniejesz i chudniesz widocznie—wartoż to?

— Jestem nieco słaby mój ojcze—przygotowania do ostatniego egzaminu zmęczyły mię; pragnę też wypocząć trochę.

— Hm! nauki, praca, egzamina—to wszystko bardzo stosowne— ale nie dla ciebie—widzę, że coś zupełnie przekształcasz się na zwykłego mieszczucha.

— Bo też nim jestem!— odparł z uśmiechem.

— Nigdy, jako potomek sławnéj rodziny, książe Wiśniowiecki, do tego rzędu pospolitości liczyć się nie możesz. Ale—radbym wiedzieć zamysły i projekty pana demokraty, co do przyszłości—ciekaw jestem bardzo!

I pan Marceli, wsypując zmieloną kawę do wody, spojrzał się bystro na syna.

— Dobrze mój ojcze—opowiem ci wszystko: wczoraj właśnie zdałem szczęśliwie ostatni egzamin, i dostałem patent — gdyby nie zmordowanie, i zachwiane trochę siły, natychmiastbym się postarał o posadę profesora, lecz doktór nakazał mi długi wypoczynek, więc cały rok jeszcze muszę czekać.

— A więc już ukończyłeś nauki zupełnie? przeszedłeś wszystkie kursy? pytał ze zdziwieniem ojciec.

— Tak ojcze! wszystkie! —odparł z dumą.

— Wiele masz lat? bo ja już nie pomnę..

— Dwadzieścia dwa!

— I grywasz na fortepijanie zawsze?

— Więcej niż kiedykolwiek!

— Hm! - a języki jakie posiadasz?

— Francuski, niemiecki, rosyjski, łaciński, grecki, angielskiego douczam się jeszcze— rzekła Emanuel.

— To za wiele! za wiele!— skrzywił się ojciec—no! i z tym myślisz zostać profesorem, zasychać jak sztokfisz w jakim mieście—i ty o tym myślisz na prawdę?

— Naturalnie!

— To masz mniej oleju w głowie niż tysiące tych, co po łacinie i po grecku nie umieją! — mruknął pan Marceli, stawiając gotującą się kawę, i parząc ją uważnie wodą.

— Cóż mogę postanowić innego mój ojcze? spytał zdziwiony Emanuel.

Potomek książąt długo nie dawał odpowiedzi—wytarł starannie dwie olbrzymie szklanki i srebrne łyżeczki, i poruszając wargami, nalewał aromatyczną kawe i dobrą śmietankę;—potym podawszy synowi jednę, sam napił się z drugiej pośpiesznie, — lecz oparzył się gorącym napojem, i wtedy dopiero, aby skrócić czas do przestygnięcia potrzebny, zaczął mówić:

— Młody książę Emanuel Wiśniowiecki, będąc co się zowie ładnym chłopcem, mając wszystkie mądrości świata w głowie, oczki jak turkusy, usta jak maliny—posiadając piękne talenty, ułożenie—powinien plunąć do djabła na bakalarstwo wszelkie, jechać do familii, a ręczę, że wszystkie kuzynki poszalałyby za tobą, że byłoby ci jak w raju—i wreszcie ożeniliby cię świetnie. Na wyekwipowanie dam ci dziesięć tysięcy, trzecią część mego kapitału, którą, ręczę ci, że w przeciągu roku zwrócisz mi z procentem!

Emanuel oblał się rumieńcem oburzenia.

— Nigdy!—zawołał.—Mój ojcze! za żadne skarby świata nie zniżyłbym się do téj hańby. Dzięki mozolnéj pracy, nie potrzebuję niczyjej łaski i pomocy; — co do ożenienia — wiesz ojcze oddawna, że jestem narzeczonym!

— Gdyby miała mitrę, a choćby herb uczciwy, pięć kroć posagu, to uwielbiałbym ją—bo przeciw jéj urodzie i wykształceniu—ani słowa!—ale—dodał wychylając coraz prędzéj smaczną kawę — ale tak! trudni się stolarką, goła jak turecki święty i do tego bez nazwiska!—podrzutek, bez nazwiska!... zawołał płaczliwie pan Marcelli i melancholijne wejrzenie utopił w próżnéj szklance, którą z westchnieniem postawił na stole.

— Dla mnie Beata jest droższą nad zaszczyty i bogactwa, nad świat cały! I jam ubogi— tak jak ona pracą własną zdobywam sobie chleb powszedni! Jednacyśmy chęciami i wykształceniem, jedno mamy dążenie, kochamy światło i prawdę, i siebie wzajemnie—będziemy szczęśliwi w ubogim domku profesora— a jeśli ona nie zna swego nazwiska, moje zastąpi go jéj całkowicie.

—Biédna! biédna!—westchnął żałośnie pan *Karmelek* i zjadł cukru kawałek.

— Co do mnie—mówił dalej—powiadam, że to głupstwo, i że licho nadało to sąsiedztwo przeklęte—ale—nie mam prawa ci bronić! żyjesz oddzielnie, od drugiej klasy masz swoje utrzymanie— jesteś wolny!— odemnie, wiesz, że nic nie można się spodziewać!—Zresztą i ja pojmuję miłość lubo od miłości do żeniaczki to dalej jak stąd na księżyc. No! nie burz się! A czemu nie pijesz dotąd kawy?—ah! wystygła całkiem! nie wiesz co dobre!—dodał pogardliwie.

Emanuel machinalnie wziął się do jedzenia

—potym spojrzał na zegarek, i powstał by pożegnać ojca.

— No! bywaj zdrów mój książe! jutro przyjdź do mnie na śniadanie — będzie bifsztyk z polędwicy, który Marcin paradnie robi! Idziesz do swej Belli — kłaniaj się jej, a nawet pocałuj odemnie. Zaczekajno — mój książe! coś miałem mówić!...ale—nie miałbyś mi pożyczyć kilka rubli?

Emanuel włożył w rękę ojca dziesięć rubli —lecz spojrzał z wyrzutem na smakującego Karmelka.

— Hm! dziękuję ci! Niewiele to wprawdzie —ale—niech tak będzie! Tylko nie rób takiej miny— wszyscy nasi przodkowie byli bardzo wspaniali i hojni, tyś przecie ich syn z prostej linii!

Stary książe zaśmiał się dobrodusznie, a młody wyszedł, ruszając nieznacznie ramionami. Dziesięc rubli było owocem dziesięciu dni mozolnej pracy na lekcyjach muzyki zarobionym; a pan Marceli zazwyczaj je przejadał w jednę dobę.

Emanuel, przechodząc szybko niewielką przestrzeń, dzielącą go od mieszkania ukochanej, widocznie nie myślał o tym— twarz jego jaśniała wyrazem szczęścia i spokoju. Zaledwo stanął przededrzwiami, otworzono mu je i Beata podała mu rękę na powitanie.

— Witaj mój jedyny! szepnęła radośnie.

— Spóźniłem się trochę — ale ojciec mnie zatrzymał; przysyła ci pozdrowienie—mówił Emanuel biorąc jej dłoń. Już wiesz, że wczoraj zdałem ostatni egzamin.

— Wiem! oh! jak ja się cieszę!...

— Coraz bliżej jesteśmy naszego szczęścia, Beato moja!....

— Ale ty się męczysz zbytecznie, Emanuelu—jesteś blady— o mój ukochany! oszczędzaj twoich sił młodych! — rzekła z uczuciem Beata—i wpatrzyła się w niego z zachwytem.

Usiedli oboje; ona przy stole, on u jej stóp na małym stołeczku.

— Opowiem ci moje projekty!—ale to później— teraz mów mi o sobie! — rzeczywiście zmęczyła mię nauka; lecz za chwilę już będę uleczony. Gdy jestem przy tobie, gdy głos twój słyszę, nowe życie wstępuje w moje piersi, spokój mię ogarnia, i szczęście niewysławione zaciera pamięć trudu! Beato moja! tyś moim aniołem-stróżem, co otacza swą opieką, umacnia upadającego — chroni od złego osłoną swych białych skrzydeł. Jabym nie mógł być złym! gdy wspomnę na twoje czoło szlachetne, nieskalane, staję się lepszym —śmiało zwyciężam przeszkody — i dążę do ciebie! do ciebie!....

Emanuel ujął jej rękę—ona kładąc dłutko, położyła drugą na jego ramieniu — i mówiła z uśmiechem szczęścia:

— A jednak ja dziś klęcząc przed twoją fotografiją, prosiłam twego przebaczenia!

— Za co? najdroższa.....

— Dziś po sprzedaniu cacek, byłam w księgarni, po książki i nuty—niewiedziano gdzie mi je odesłać; powiedziałam mój adres—księgarz spytał o nazwisko—musiałam wyrzec tylko imie, które mi nazwisko zastępuje razem—zdziwił się—a ja—przyszedłszy do domu—płakałam!..

— Płakałaś, Beato?

— Daruj mi Emanuelu! chwilę tylko dałam się unieść żalowi—lecz potym uczułam całą niewdzięczność mego serca. Sama—bez rodziców—bez sposobu do życia, znalazłam najprzód tkliwą opiekunkę w ciotce, która ze szczególnym poświęceniem zajęła się moim wychowaniem — od kolebki aż do końca zeszłego roku, miałam serce i starania prawdziwie macierzyńskie. A później—ty mój najmilszy—ty, piękny, książe—z wysokiego rodu—ukochałeś sierotę bez nazwiska; dałeś jej skarby uczuć i szczęścia!—o Emanuelu! ja powinnam dziękować Bogu za sieroctwo moje, bo mię udarował największemi dary— sercami pełnemi bezinteresownego kochania!...

Promień zachodzącego słońca rzucił światło na dwie piękne młode głowy, pochylone ku sobie— złocista aureola zdawała się okrążać je—od jasnych włosów promieniejących w świetle, jaśniały ich oczy i czoła nieziemskim zachwytem. Dłonie ich były złączone— serca biły jednako uczuciem prawdziwego szczęścia!..

Pierwsza Beata ocknęła się z marzącej bezczynności, łagodnie wysunęła swą rękę z dłoni Emanuela—odgarnęła lekko jego piękne włosy—i rumieniąc się, pocałowała białe czoło narzeczonego. On podniósł ku niej swoje niebieskie oczy—objął jej smukłą kibić—pochylił ku sobie, i nie broniącej się, choć różowej jak jutrzenka, pocałunkiem odpowiedział na słowa tak miłe.

— A teraz do pracy!—szepnęła zapłoniona Beata—a rumieniec nadawał jej rysom coś nieokreślenie czarownego.

Beata przez cały tydzień wyrabiane cacka sprzedawała w sobotę rano, i pieniądze z nich obracała na wydatki i potrzeby domowe; co sobotę zaś pracowała na korzyść biednych, i fundusz stąd uzbierany, składała do osobnej szkatułki, z której niejeden grosz ocierał łzę niedoli.

Oprocz tego, od roku wstawała godzinę raniej, i godzinę później kładła się spać, bo dla własnej przyjemności i Emanuela, chciała kupić nowy piękny fortepijan. Stary był już trochę nadwerężonym.—Beata marzyła o chwili, w której Emanuel będzie mógł grać na nim i podziwiać jej wytrwałą oszczędność—tysiąc złotych zdołała już zebrać — brakowało jej dwa razy tyle — ale nie zrażała się i czekała cierpliwie.

Ponieważ to była sobota, więc Beata dodała:

— Biedni cierpieliby na moim lenistwie.

Emanuel spojrzał z miłością na jej piękne choć niemałe ręce o cienkich paluszkach, pracujących usilnie.

Uśmiech zakwitał na ich ustach, ile razy się z sobą spotkały. Na prośbę Emanuela podała mu kilka kawałków tektury, aby na niej oznaczył rysunek i wyciął później—a tym sposobem wraz z nią był zajęty.

Uśmiechnięci, zadowolnieni, szczęśliwi,— rozmawiali swobodnie— a było im tak ślicznie razem, że aż stara Janowa kilka razy zbliżyła się cichutko do drzwi pokoju—i patrzyła ze łzą w oku. Po chwili milczenia Emanuel rzekł:

— Dziś pożegnałem swoich kolegów - żal nas ogarnął serdeczny, gdy nam przyszło rozstawać się może na zawsze. Jedni jadą za granicę— inni do domu; przed rokiem cieszyli się tą chwilą, w której ukończą nauki i staną wobec rodziny jako ludzie dojrzali; dziś—niejeden ze łzą w oku opuszczał ubogie często, lecz wesołe izdebki—bo im strach było niewiadomej przyszłości, czekającej na progu nowego życia!

— Wspomnienie tych chwil będzie nieraz dla nich najprzyjemniejszym w życiu. Czy może być kiedy więcej swobody, marzeń, zapału—jak w głowie i sercu młodego studenta uniwersytetu!—Szkoda tylko że dla kobiet ta strona życia zupełnie zamknięta. W towarzystwie kolegów, wśród wymiany myśli i uczuć, ścierania się zdań przeciwnych, wyrabia się samodzielność i piętno charakteru nigdy niezatarte. Kobiety młode, wypuszczone z pod drobiazgowej opieki — korzystając ze skarbów wiedzy, nauczyłyby się szacunku dla samych siebie, podniosły we własnych oczach do prawdziwej godności człowieka, pozbyły tysiąca drobnych wad, wynikłych z teraźniejszego wychowania—stawałyby się godnemi członkami społeczeństwa, rozumnemi pomocnicami swych mężów—matkami, przewodniczącemi na drodze postępu nowemu pokoleniu! Dobrze zrozumiana emancypacyja — to natchnienie Boże!—ale dotąd w Ameryce zabłysła jak kwiat egzotyczny jaskrawemi barwami —w starym świecie jak zasuszony obcy kwiat służący czasem do ozdoby salonów; lecz nie stała się jeszcze drogą prawdy—potrzebą życia, podstawą szczęścia dla ludzi!..

Beata mówiła z uniesieniem—lecz głębokie zrozumienie prawdy, której dowodziła, błyszczało w jej oczach, Emanuel czuł toż samo co ona—i rzekł poważnie:

— Mało jest kobiet pojmujących swoje stanowisko, mało mężczyzn wiedzących, na czym ich szczęście zależy. Nieraz w kółku koleżeńskim rozbieraliśmy tę kwestyję;—na piętnastu młodych jeden miał podobne jak ty i ja zdanie!—Inni zapalali się tym przedmiotem—słuchali, dowodzili—i kończyli żarcikiem ubliżającym, okazującym niewiarę w godności i moc kobiety. Czasem uczuwali prawdę twierdzenia; lecz uważali niemożebną do usunięcia przeszkodę w usposobieniu naszych kobiet. Wskaż nam przykład—mówili—pokaż nam kobietę młodą, piękną, żyjącą o własnej sile i pracy, nieskalaną sercem i podniosłą duchem! Wtedy, Beato — wtedy był dla mnie tryjumf prawdziwy — bo stawiałem im twoję postać—opowiadałem twe życie— a oni chylili głowy w zadumie i dziwiąc się powtarzali—to wyjątek! ideał! to „Błogosławiona", jakich dotąd nie bywało na świecie! Nie było— ale być może—więcej takich, a fundament do mającej powstać budowy założony!

Z tych rozpraw długich—jedna tylko chęć w nich powstała, którą mi objawili gorąco— poznania ciebie, ujrzenia cię w twoim otoczeniu, pracującą cicho i swobodnie, idącą śmiało po nieutartej dotąd drodze. Daj nam oglądać na własne oczy ten ideał — mówili — na poparcie twych zasad, daj nam poznać żyjący przykład!

— A ty Emanuelu? co im odpowiedziałeś?

— Dotąd nic—lecz wyjeżdżający towarzysze błagają serdecznie abyś ich przyjęła jutro —mamy się zejść po raz ostatni, do naszej izdebki, a stamtąd jeśli pozwolisz, przyjdziemy do ciebie!

— Chcesz tego Emanuelu?

— Proszę o to— Beato moja!..

— Więc dobrze! czekam oryginalnych odwiedzin! ale drogi mój—pomyślałeś, jakie taka wsgarda zwyczajów towarzyskich, ściąga domysły i niekorzystne pozory!— rzekła poważnie Beata—czy ja powinnam je lekceważyć?

— Ty, ukochana, jesteś otoczona aureolą świętości tak, że nikt nie poważyłby się rzucić na ciebie potwarzy niegodnej!

— Nie lękaj się najdroższa!—posłuchaj— i mówiąc to, Emanuel ujął jej drżące ręce. Długa praca trochę zniszczyła moje siły; nakazano mi spoczynek i rozrywkę. Spoczynek! —wtedy gdy jabym chciał podwojoną usilnością zbliżyć chwilę prawdziwego szczęścia, osiągnięcia naszego celu. Kazano mi jechać na wieś; gdy dla mnie pod karą utracenia wszelkiej możliwości zarobku z lekcyj wydalenie się jest niepodobne. Smutny wracałem od doktora —w tym ktoś mię trącił w ramię z przyjacielskim powitaniem— poznałem zacnego profesora. Natychmiast zagadnął mię o powód smutku — a dowiedziawszy się o co rzecz idzie, zawołał z radością:

— A to się ślicznie składa.

— Jakto?—spytałem zdziwiony.

— Właśnie dziś odebrałem list od pewnego pana, który (nie wiem czemu to przypisać?) zakupił dużą biblijotekę, i pragnie mieć na rok

kogoś do uporządkowania jej, i pełnienia obowiązku biblijotekarza. Mieszka na wsi, w cudownym położeniu, wśród gór i zdrowego powietrza—można więc odetchnąć słabym piersiom - a zarazem dla ciebie, co znasz wybornie języki obce, będzie taki urząd korzyścią i zabawką! Za rok pobytu przyjedziesz zdrów jak ryba, z trzema tysiącami złp. w kieszeni; bo takie przeznacza wynagrodzenie—tymczasem przyjaciele postarają się wynaleść posadę—i wszystko będzie dobrze!

Uścisnąłem dłoń dobrego człowieka—i naturanie przyjąłem jego propozycyją—ale gdy pomyślę, że przez rok cały będę z daleka od ciebe—nie mam odwagi....

— Emanuelu!—odparła poważnie Beata—my nie będziemy daleko od siebie—uczuciem; modlitwą nieustannie spotykać się będziem —prawdziwa miłość powinna być wyższa nad egoizm i drobną czułostkowość. Ile cię kocham —ty wiesz Emanuelu mój!... ty wiesz o tym!.. a jednak cieszę się z tego wydarzenia—bo ono jest dobrym dla ciebie, potrzebnym do umocnienia cię na trudną walkę z życiem przyszłości! Jedź!—niech Bóg ześle anioła, aby cie chronił od bólu z tęsknoty! Miłość moja wszędzie i zawsze towarzyszć ci będzie!....

— Miłość twoja będzie tym aniołem zesłanym od Boga!—odpowiedział Emanuel, klękając przed nią i czysty, niebiański pocałunek złączył usta tych istot szczęśliwych.

* * *

Nazajutrz, słońce weszło zaglądając za firanki z muślinu, zbudziło Beatę—która uśmiechnęła się doń, jako do znajomego figlarza—i spojrzawszy na zegarek, powstała szybko—Była godzina ósma—Janowa zastawiła śniadanie—Beata ubrała się spiesznie—z równym pospiechem wypiła herbatę — i w krótce już była na ulicy. Zręczna jej postać przybrana w szarą suknią, której jedyną zaletą był zgrabny krój i świeżość—zwracała uwagę przechodzących. Na niektórych twarzach malowała się wątpliwość, do jakiej ją mają zaliczyć kategoryi.

Swobodne ruchy, gustowny ubiór—ładna twarz ocieniona okrągłym pasterskim kapeluszem—wskazywały że to jest osoba pełna elegancyi i dobrego gustu. Koszyczek na ręku—obok ładnych rękawiczek, które oznaczały kontury arystokratycznej ręki, o długich wysmukłych paluszkach—i maleńka nóżka, obuwie staranne—stanowiły sprzeczność dającą do myślenia. To też dwu młodych ludzi, widocznie z grona złotej młodzieży—szepcząc dosyć głośno różne uwagi i przypuszczenia, podążyli za nią wiedzeni ciekawością. Beata nie uważała że miała śledzących jej każde poruszenie towarzyszy — biegła prędko — minęła Krakowskie-Przedmieście i skręciła na Tamkę, snać dobrze z miejscowością obznajmiona.

— Wróć się Guciu! to pewno jakaś córka szynkarza uczciwego papunia i zacnej mamuni oberżystów, — rzekł jeden z panów niechętnie.

— Trzeba nie mieć oczu żeby ją o to posądzić—spojrz na nóżkę, ruch, ubiór.— Ja ci powiadam, że jest w tym jakaś mistyfikacyja, jakiś ukryty skandalik!— odparł drugi.

Tymczasem przechodzący pozdrawiali przyjaźnie Beatę—kilka razy przystanęła, aby pomówić z żoną rzemieślnika, która całowała jej rękę.

— Nie mówiłem!—wyrzekł pierwszy tryumfująco.

— Ale czy nie postrzegasz z jakim ją witają uszanowaniem?—to cóś znaczy! — zobaczysz Jerzy!—

— Niezrównany jesteś w swoich spostrzeżeniach! drugi *monsieur Lecoq!* odparł z przekąsem.

Beata weszła na podwórko otoczone lichemi domkami. Kilkoro dzieci w łachmanach bawiło się z wychudłym kotem — na widok Beaty, z radośnym okrzykiem rzuciły się do niej.

— Dzień dobry siostro Beato!..... dzień dobry!

— Jak się macie dzieci? Pogłaskała cisnące się główki.

— Dobrze!— Ale mnie oczy bolą jeszcze!

— A ja się skaleczyłem w palec! siostro Beato!

— A mnie Wojtek wybił.—Amnie się koszula podarła!—siostro Beato!—A myśmy bardzo głodne,— wołały różne głosiki i przeszło tuzin dzieci okrążyło Beatę, czepiając się jej sukni. Z domków wyjrzały starsze twarze i znów powitania się rozpoczęły.

Beata wszystkie pozdrowiła i zwracając się do dzieci, rzekła:

— Czy buzie i rączki umyte?

— Umyte! siostro Beato! i dzieci pokazały czyste ręce, a niektóre pobiegły do balii z wodą i obmyły w niej twarze z pospiechem.

— Już siostro Beato!

— A pacierz zmówiony!

— A jakże! zmówiony siostro Beato!

— No! to macie moje dzieciaki!—i wydobyła z koszyczka bułki, które w okamgnieniu rozdała. Potym z jedną ze starszych kobiet weszła do izby o wytłuczonych szybach, nędznej kletki w walącej się chacie.

— I cóż? spytał Jerzy stojącego nieruchomie Gucia.

— Nie wierzysz więc że to jest przebrana królowa?

— Guciu! jesteś na czczo! masz gorączkę! —bo inaczej nie plótłbyś głupstw bez sensu!

— Czy nie piękna?

— Ładna!—wiec chodźmy na śniadanie!

— Idź! ja się nie ruszę!

Beata wyszła z domku i zawołała jednego chłopczyka.

— Piotrusiu! pójdziesz ze mną do apteki dla mamy po lekarstwo!

— A ty Róziu, masz książeczkę—i pamiętaj popołudniu czytać z niej dzieciom historyjki. Trzeba wyręczyć w pracy panią Grabowską, bo jest bardzo osłabiona—starsze dzieci mogą kolejno zamieść izbę i umyć naczynia, dopóki nie wyzdrowieje!— Przyrzekacie mi?

— Przyrzekamy! siostro Beato!

— Dla Józia i Michasia przyniosłam płótna na koszulki—mam nadzieję że je pani Kowalska uszyje dla biednych sierotek!..

— Dobrze siostro Beato!—powiedziała niemłoda kobieta.

— Ty Marysiu, zanieś ojcu tę maść na ranę— przewiń nią nogę kilka razy a zagoi się zupełnie.

— Siostro Beato! czas by mego Józia oddać do terminu, mówił jakiś jegomość w szarej kapocie.

— A do czego ma ochotę? panie Franciszku.

— Bo ja wiem?— nie pytałem się o to! jabym chciał aby był stolarzem, ale jemu szkoły chodzą po łbie.

— Czy to co złego?

— Z przeproszeniem siostry Beaty— jemu to niepotrzebne, ja chcę żeby był uczciwym rzemieślnikiem, nie żadnym uczonym.

— Jeśli z umiejętnością rzemiosła, łączy się wykształcenie, łatwiej się dochodzi do celu—którym jest udoskonalanie i zebranie korzyści ze swego rzemiosła, oraz dopomożenie drugim, dając im szlachetną pracę!—Czyli—mój panie Franciszku — naprzykład, jeśli stolarz nietylko umie heblować, strugać ale i rysunek zrobić, i ozdobnie wykończyć dodatki, i ładnie wypoliturować, już to jest majster nielada, może dużo zarabiać, ale dla czeladników, także wielka chluba i korzyść uczyć się pod takim przewodnikiem.

— No! to się wie! przecież lepiej umieć dużo niż mało! ale zawsze ja nie chcę żeby mój Józik był panem albo księdzem, jeno rzemieślnikiem, coby znał swoję robotę, czytał, pisał, rachował i pamiętał katechizm—a tego ma dobre początki—więc jeśli siostra Beata będzie łaskawa pomyśleć gdzieby go najlepiej umieścić, tobym pięknie za to podziękował.

— Z całego serca wam dopomogę — ale chciałabym wiedzieć koniecznie do czego on ma ochotę?

— Józek!—zawołał ojciec.

Przybiegł mały chłopczyna o inteligentnej twarzy, choć poznaczonej śladami ospy.—Na pytanie Beaty powiedział z namysłem.

— Szewcem! siostro Beato!

— A ty błaźnie! krzyknął ojciec — żaden z Krajków jeszcze nie był szewcem—co tobie świta we łbie!

— Ale Tatuniu! toć najlepiej być szewcem, bo to nigdy nie zbraknie chleba kawałka—ludzie zawsze chodzą w butach!—mówił malec rezolutnie.

— Pozwólcie mu panie Franciszku! znam majstra gdzie znajdzie opiekę i nawet naukę—powiedziała Beata, myśląc o Macieju. Pomówię z nim i jutro możecie mi przysłać chłopaka.

— Ha! to niech i tak będzie!—Bóg zapłać siostro Beato! Józek! podziękuj Pani!

Józek chętnie wykonał zlecenie — a Beata udzieliwszy jeszcze kilka rad, które były z zadziwiającą czcią przyjęte — błogosławiona przez wszystkich—wyściskana przez dzieciaki—z pustym koszyczkiem wracała do domu.

— I cóż? szepnął Jerzy.

— Zachwycająca! niepojęta! ja z nią muszę mówić i z temi słowy rzucił się ku Beacie, wychodzącej już na Krakowskie-Przedmieście.

— Pani! rzekł śmiało zastępując jej drogę —jesteś aniołem dobroczynnym—wszyscy doznają twej dobroci—niechże i ja będę tym szczęśliwym.

— Co?... spytała Beata zdziwiona i cokolwiek przelękła.

— Śledzę panią!... podziwiam!... pragnę!.....

— Daruj pan! towarzystwa nieznajomych przyjmować nie mogę!

— Je suis votre très humble serviteur!

— Czy chcesz pan bez powodu ubliżać kobiecie? je vous regrète, et je vous assure, que les apparences trompent souvent!—odparła dumnie Beata, i końcem swej parasolki delikatnie odsunąwszy krój swej sukni od natręta, poszła bez wahania dalej.

Osłupiały Gucio został z buzią otwartą—lecz wprędce oprzytomniał — i porwawszy Jerzego, także zaintrygowanego, pod rękę—pobiegł za nią z daleka. Beata weszła do mieszkania Felicyjana;—zwykle bowiem z nim spędzała poranek każdego święta.

Gucio i Jerzy daremnie czekając, poszli na śniadanie—lecz przyrzekli sobie wyśledzić tajemnicę pięknej nieznajomej.

— Czemu tak pobladłaś siostro? pytał Felicyjan widząc zmianę w twarzy Beaty.

— Miałam nieprzyjemność—odparła i opowiedziała mu zdarzenie.

— Smutno pomyśleć—dodała—że w XIX wieku, znajdują się ludzie jeszcze do tego stopnia nieucywilizowani!

— A jadnak oni należą pewno do wyższego towarzystwa?

— Tak—mieli ubiór elegancki i dobre manijery!

— Ty to lubisz, siostro Beato!

— Lubię ładny strój i piękny układ — dobrane wyrazy i pewność siebie—ale tylko wtedy jeśli do tego jest podstawa rozumu

i wrodzonego wdzięku. Przymus mię razi— wolę już zupełną prostotę.

— A za przepychem którym otaczano cię od dzieciństwa nie tęsknisz nigdy?

— Nie! z ubóstwem moim jestem szczęśliwa! — Miłość i praca zapełniają wszystkie pragnienia mego serca!

* * *

Zobaczymy teraz co robi robi Emanuel.

I on wstał o ósmej — ale powoli pijąc śniadanie, widocznie rozmyślał o czymś ważnym. Ubierając się, często kilka minut stał w miejscu nieruchomy — układając w głowie jakiś plan—aż wreszcie chwycił za kapelusz i poszedł wolnym krokiem na ulicę Furmańską.

Po drodze spotkał kilku porządnie ubranych ludzi, których zabrał z sobą.

Rozmawiając weszli do garkuchni o szyldzie olbrzymim, na którym niezupełnie stosownie wymalowanym był Turek. Wchodzących, goście przywitali czule ściskając ich rękę, i dotykając z pewną niesmiałością grubemi zapracowanemi rękami, białej szczupłej dłoni Emanuela.— Jednak twarze ich wyrażały szczere zadowolenie, z jego przybycia.

— I cóż panie? egzamina? — spytał jakiś pan majster pokaźnej tuszy.

— Powiodło mi się panie Dyjonizy.

— A toż to mogłeś pan wątpić? nasz biały książe, to uczony nad uczonemi!— ho! ho! onby wszystkich mądrych w kąt zapędził!

— A pewno! — przecie i ja znam się na tym!—odparł drugi.

— Ot! nie wstydzi się uczciwych rzemieślników, jedno z nimi za pan brat.

— I radą dopomoże!

— I w nieszczęściu pożałuje!

— I nam nie jedno mądre tak pięknie opowie, że ja sam zrozumiem jakbym to ja własną ręką ukuł na kowadle!

— Ot! o polityce i przeróżnych krajach!

— Albo jak w przeszłą niedzielę o obowiązkach każdego obywatela — to tak porównał wszystkie stany, i dowiodł że każdy coś znaczy w swiecie — a tak mądrze i ładnie — aż my się spłakali jak bobry.

— Albo o pijaństwie— biały książe zrozumiał, że czlek nieraz z turbacyi nie ze złej woli kieliszkiem brzęknie!

— Ho! ho! to prawda!

— Niech żyje biały książe!

— Niech żyje krzyknęło kilkanaście głosów z zapałem!

— Dziękuje wam moi bracia za wasze poczciwe serce! właśnie przyszedłem prosić sam o przysługę serdeczną! rzekł wzruszony Emanuel!

— Niech pan mówi! mów! mów!....

— Na stół! — na stół! — krzyknął ktoś — i w okamgnienu Emanuel delikatnie mimo uniesienia ujęty, znalazł się na stole.

— Słuchamy! słuchamy!

Stanął na zaimprowizowanej trybunie — założył ręce na piersiach—i dźwięcznym głosem zaczął mówić.

— Moi bracia!— Za pare dni, wyjeżdżam na rok cały—znalazłem miejsce korzystne, na wsi—gdzie będę mógł, nie tracąc nic, dać wypocząć trochę zmęczonej głowie. Żal mi rozłączać się z wami—a oprócz tego, żal odjechać młodej narzeczonej, którą kocham całą duszą, i uzyskawszy posadę za dwa lata, prędzej może, jeśli Bóg pozwoli—zaślubię. Tymczasem ona zostaje sama, bez opieki, bo jedyna jej opiekunka ciotka—umarła od roku. Umie ona sobie dać radę—ale będzie mi lżej na sercu, gdy odjeżdżając, polecę ją wam w opiekę!

— Dziękujemy! oh! dziękujemy! zawołali z rozczuleniem słuchając.

— Narzeczoną moją jest—siostra Beata.

— Sostra Beata! nasz anioł,—o my ją znamy, znają nasze żony i córki! niech żyje siostra Beata! my zanią w ogień wskoczymy jeśli tego będzie potrzeba!—my ją swojemi piersiami zasłonimy!...

— Dziękuje wam bracia!— spokojny odjadę! Beata nie zostanie sama, będzie miała rodzinę, czuwającą nad nią!

— Jak nad córką! nad królową!— to godna żona białego księcia niech żyją!

Emanuel zeskoczył ze stołu i ze łzą w oku uścisnął twarde ale zacne dłonie! Zapał, szczerość tych ludzi pracy—uprzytomniły mu typy narodowe, szlachty zagonowej na sejmikach.— Tu jeszcze bije serce—pomyślał—krew niezastygła, kiedy potrafi uczuć przyjaźń i być gotową do ofiary nawet! Pożegnał ich – żegnany serdecznie — i poszedł długo jeszcze słysząc okrzyki.— Niech żyje biały książe!

Emanuel domyślając się gdzie o tym czasie może być Beata, zapukał do drzwi Felicyjana.

Gdy im opowiedział scenę w garkuchni pod Turkiem—obojgu łzy błysnęły w oczach.

— Oddając im skarb mój w opiekę—na zawsze zobowiązałem sobie ich serca!— a ja, rzeczywiście będę spokojniejszym, myśląc że nie będziesz tak opuszczoną Beato!

— Tym bardziej teraz—szepnął Felicyjan myśląc o owych paniczach, których Beata nazwała nieucywilizowanemi. Czemuż ja nietylko nie mogę cię strzedz i bronić — lecz sam jeszcze twej potrzebuję opieki!—dodał głośno.

— Czyż ja sama nie wystarczę sobie w obronie wszelkiej? — nakoniec skąd przypuszczenia podobne?

— Ja nie wiem Beato moja — a przecież cieszę się z mego pomysłu—odparł Emanuel —i rozmowa na inne przeszła pole.

O pierwszej Janowa przyszła prosić państwa na objad i przyniosła dla biednego chorego kilka potraw które mu z dumą dobrej kucharki podawała. Ale ręce starej sługi niezgrabnie wywiązywały się z zadania—i Beata delikatnie usunęła ją pod jakimś pozorem, sama biorąc talerze—i z wdziękiem usłużyła dziękującemu jej spojrzeniem........

* * *

Po objedzie Emanuel wyszedł, obiecując na wieczór gości.

Beata patrzyła za odchodzącym dopóki go widzieć mogła, a gdy znikł na zakręcie ulicy, usiadła w swoim pokoju i zaczęła czytać. Parę godzin minęło szybko — szelest przerzucanych kartek i chrapanie Janowej, która po swojemu używała święta, przerywał niezakłóconą ciszę. Nakoniec Beata złożyła dokończony tom— i pomyślała trochę o swoich gościach. Należało się ubrać, i coś przygotować.

Młoda gosposia, przejrzała wszystkie szafki i schowania, ustawiła na tacy filiżanki, i zbudziła Janową, aby zasięgnąć jej pomocy i rady w wielu kwestyjach gospodarskich. Załatwiwszy to — przeszła do saloniku, poprawiła sprzęty—roztworzyła fortepijan—zagrała króciutką pełną życia piosenkę — i poszła się ubierać. Krótki był namysł — biała lekka suknia, powiewna, długa—to strój równie skromny jak wytworny i piękny. Włosy jasne, splecione w warkocze, otoczyły jej głowę, tworząc nad czołem niby koronę, w której jak gwiazda utkwił biały kwiatek. W atmosferze jej mieszkania, było cóś lubego, czystego—rzekłbyś miejsce pobytu Westalki. Gdy Beata już przystrojona, stanęła w saloniku oczekując gości—była tak piękną, poważną, dziewiczą — taki majestatyczny wdzięk rozlewał się w jej postaci, że już za pierwszym spojrzeniem powinna była budzić w każdym najwyższy szacunek. Takie też wrażenie zrobiła na młodych ludziach, kolegach Emanuela, którzy ciekawie rzuciwszy wejrzenia, później chylili głowy w głębokim, uszanowania pełnym ukłonie. Beata witała ich z godnością i szlachetną uprzejmością, jakiej pozazdrościłaby jej najmodniejsza pani, przyjmująca w złocistych salonach — dama dworu—królowa!

Gdy Emanuel przedstawił jej po kolei ośmiu młodych mężczyzn, bez zakłopotania ukłoniła się lekko każdemu, a potym poprosiła siedzieć i zawiązała rozmowę.

Gawędzono o naukach i sztuce, o rzeźbie i muzyce, literaturze i kwestyjach społecznych; — nakoniec poruszono kwestyją emancypacyi kobiet. Młodzież zacowycona, rozentuzyjazmowana — z zapałem dała oklask Beacie mówiącej poważnie, surowo niemal w tym przedmiocie.

— Kobiecie mówiła przekonywająco—nie powinno chodzić o biret doktorski, o stopień magistra prawa, lub oryginalną posadę;—nie na to ma służyć emancypacyja, aby była płaszczykiem pokrywającym złe, lub błyszczącym odświętnym strojem; lecz, aby się stała codzienną, wygodną czystą suknią — użyteczną na wszystkie pory wieku i niepogody życia.

— Pani jesteś wyjątkiem— masz charakter niepokalanej prawości i energiją niepospolitą — ale weź pani którą ze zwyczajnych kobiet wyższego towarzystwa;— czyż ten kwiatek z cieplarni podoła ciężkim obowiązkom, czy pojmie ważność i rozciągłość tego zadania?—zaprotestował ktoś chłodniejszy.

— Każda może znaleść w sobie siłę moralną, zdolną do podtrzymania fizycznej. Wreszcie nie wszystkie kobiety są niemożne; zasoby materyjalne dają możność stosowania zasad w życiu.

— I cóż bogata, emancypowana kobieta ma czynić, spytali.

— Być członkiem społeczeństwa, niezawisłym od przesądu niedozwalającego mieć kobietom własnego poglądu i woli nawet w wyborze towarzysza życia, kształcić się wszechstronnie i specyjalnie w przedmiocie do którego ma zdolność i upodobanie; mieć zaufanie we własnej sile i godnosci. Wyznając takie zasady, trzeba zachować takt w postępowaniu i nie zapierać się kobiecości,—nie robić z siebie istoty potwornej, pół-męskiej,— a zyska się uznanie i szacunek.

— Niestety pani! tak nie jest dotąd w swiecie!

— Ale tak będzie! tak będzie niedługo!— zawołała Beata, jakby natchniona, podnosząc płomienne źrenice ku niebu.

— Daj Boże! Amen!—powiedzieli chórem młodzi z uwielbieniem.

Przy herbacie rozmowa stała się lżejszą, humorystyczną — krążyły dowcipne żarty — Beata i Emanuel zręcznie ożywiali gawędkę, oboje mieli o czym mówić. Towarzystwo było dobrane, młode, jednako wykształcone;— czas więc schodził przyjemnie—i najwytworniejszy salon nie poszczycił się może równie miłym, swobodnie a zajmująco bawiącym się zebraniem osób. Najżywotniejsze kwestyje były dotykane i roztrzygane z werwą młodzieńczą — z żywo i szlachetnie bijącym sercem.

— I gdzie szukać prawdy śród towarzystw ludzkich — mówi jeden — wszędzie obłuda ukrywa szkaradne wady—pobożność służy za pokrywkę nieuczciwości. Gdybyśmy nagle zajrzeli w głąb duszy zebranych w towarzystwie gości, którzy mają zwyczajne i jednakie miny i uśmiechają się dobrodusznie — przestrach ogarnąłby nas na widok tak wyrafinowanej obłudy.

— I czemu grać komedyją? kiedy prawda